№ 9. Warszawa, dnia 17 Lutego (1 Marca) 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

VII.

Gdy pan Salezy za pomocą żony, córki i jednego gondoliera do swoich apartamentów w hotelu się dostał, obaczył na stole kartę wizytową, zagiętą według najnowszych regół wielko-światowych. Już to samo usposobiło go bardzo dobrze dla wizytanta, i z niemałą ciekawością podniósł kartę do oczu. Na karcie był herb i nazwisko bardzo dobrze znajomego, ongi towarzysza różnych dawniejszych po świecie wycieczek.

— Wiesz Polusiu, zawołał do żony, Michaś jest tutaj, patrz jego karta wizytowa!

— Pan Michał? powtórzyła Eliza z radością, niechże ojciec zapyta go o dzisiejszą naszą znajomość, on zna dobrze tamte strony.

— O Michaś zna wszystkich! To był chłopiec jakich mało!

I gdy tak właśnie, o Michasiu rozmawiał pan Salezy, dały się na korytarzu słyszyć głośne krząkania i stukania jakby kaleka jaki do drzwi się zbliżał.

Był to rzeczywiście upragniony przez pana Salezego „Michaś", ale wyglądał tym razem na siwego schorzałego staruszka. Kosmyki siwych włosów sterczały mu za uszami a reszta głowy była goła jak kolano. Twarz miała wszelkie cechy starca a cała postać była we dwoje zgięta i na kulach oparta.

— Mój Michasiu, zawołał paralityk nie mogąc wstać na powitanie dawnego znajomego. Mój Michasiu, co też się z tobą stało! Nigdybym cię nie poznał!...

— To samo stało się i z tobą mój Salezy, odparł wesoły kaleka, i tobie coś nogi nie chcą chodzić!

— Gdzie tam! gdzie tam! zagadnął szybko paralityk, nogi mam jeszcze dobre, tylko... ot tak zasiedziałem się! Siedziałem długo w gondoli! Ta Wenecya ma tę złą stronę, że człowiek mało chodzi, a wiele pływa po wodach!

Wreszcie udało się panu Salezemu nogi wyprostować, ale znowu była bieda ze zginaniem, co przy chodzeniu koniecznie jest potrzebne.

— Widzisz, nogi jeszcze stawiam prosto, mówił z upodobaniem pan Salezy, a gdy jeszcze z miesiąc w słonéj wodzie je moczyć będę, może i zawiasy lepiéj zginać się będą! Jakże się masz mój drogi!...

— Jak widzisz, odparł Michaś, ciało szwankuje ale humor zawsze ten sam! Ohoho! Pamiętasz jak my to w bulońskim lasku urządzali kawalkaty!... Saprésti!

Wesoły „Michaś" skrzywił się tutaj jakby kieliszek octu połknął i zmarszczył czoło, jakby kogoś chciał przebić!

— Co ci jest? zapytał z politowaniem paralityk usiłując zbliżyć się do przyjaciela a nie mogąc tego w żaden sposób dokazać.

— Nic, już przeminęło! Ale strasznie się poddałeś! Widzisz ja jeszcze trzymam się jak mogę! Uf!...

Znowu się skrzywił wesoły człowiek.

— Co mówisz! Jabym jeszcze ciebie przeskoczył... tem prędzéj że się pochyliłeś do ziemi jak ongi Sykstus szukający kluczy św. Piotra!...

— Już ja tam kluczy nigdy nie szukałem. Wolałem wesołą hulankę niżeli dygnitarstwo i honory. A cóż ty... czy zostałeś szambelanem, jak o tem zawsze marzyłeś?

Pan Salezy chciał machnąć ręką, ale ręka zesztywniała nagle. Pan Michał roześmiał się.

— Doskonale! Wyglądasz jak drogozkaz na drodze powiatowéj! Uf!... to przeklęte darcie!

— Człowiek nie o jednem marzy w życiu, mówił daléj pan Salezy sprowadzając rękę do dawnéj pozycyi, gdyby piękne marzenia nasze spełniały się, byłby raj na ziemi! A tak... cóż robić! Jak przyjdę do siebie, kto wie, czy jeszcze do tych marzeń nie wrócę!

— Gdyby mi się tylko żyły wyprostowały, chciałbym raz jeszcze pojechać do Paryża i jak bywało za młodszych lat wyprawić u *Vacheta* jedną z tych wesołych kolacyjek, o których zapewnie jeszcze nie zapomniałeś!...

— No!... Przecież jeszcze nie jestem stary!... Uf!... Gdyby tylko ten reumatyzm wykurować... mógłbym jeszcze całą noc tańczyć.

Pan Salezy chciał tutaj kilka kroków zrobić, aby wszystkich i siebie o swojéj młodości przekonać, ale nogi poplątały się jak źle uwita przędza i trzeba było jak najprędzéj usiąść na najbliższym fotelu. Jakoż uczynił to z możliwą jeszcze fantazyą, aby przyjaciela lat młodych przekonać, że czyni to z własnéj woli, nie będąc do tego wcale zmuszony. Poszedł w jego ślady i towarzysz ale nie z taką jak on zręcznością. Jedna kula wysunęła mu się z pod ramienia i gdyby nie Eliza, która mu na pomoc pośpieszyła, byłby biedny kaleka jak długi runął na posadzkę.

— Dziękuję pani za pomoc, ozwał się do Elizy, jeszcze nie potrzebuję tak bardzo pomocy... wyjąwszy jeżeli ona od tak pięknych rączek pochodzi!

Nie bez jęku usiadł wesoły towarzysz na fotelu, ale w głębi duszy był przekonany, że przecież lepiéj trzyma się od swego przyjaciela. To samo

myślał sobie i pan Salezy, jak to z wyrazu jego twarzy wyczytać było można.

Po załatwieniu tych kwestyi osobistych, przeszli dawni towarzysze wesołego życia na temat mniéj wesoły. Mowili o złych czasach, o trudności gotówki, o wylewach i nieurodzajach i o drożyznie w hotelach zagranicznych. Późniéj dotknęli z lekka stosunków swoich rodzinnych, przyczem dowiedział się pan Michał, że Eliza jest wdową, czego w żaden sposób uwierzyć nie mógł. Przyobiecał zaraz wystarać się dla niéj o męża a nawet wspomniał o pewnym młodym wdowczyku ze swojéj okolicy.

Eliza przyjęła to z lekką chmurką na czole, bo obok obiecanego wdowca stanął przed jéj oczyma świetny nieznajomy, o którym już tyle sobie namotała!

— Zanim pan mnie wyswatasz, ozwała się z uśmiechem Eliza, niech mi pan pierwéj da niejakie wyjaśnienie o pewnéj świeżéj znajoméj naszéj. Wszak pan zna dobrze Polesie?

— Jak zły szeląg droga pani! odparł z galanteryą pan Michał, o kogoż pani tam chodzi!

— O panią... Elwirę Palczewską!

— Palczewska!... Ach, czy żyje jeszcze ta babka?

— Jest właśnie tutaj! odpowiedziała pani Apolonia, przed godziną właśnie poznaliśmy się z nią!...

— O! to już babka lat matuzalamowych!

— Niech nam pan coś bliższego o niéj udzieli!

— Coś bliższego?... najprzód jest to wdówka arcy bogata... Palczewski zostawił jéj trzy wioski, które ona nie tylko w ręku utrzymała, ale nowet z długów oczyściła!

— Czy są jacy krewni?

— A jużciś jacyś być muszą. Téj hołoty nigdy nie braknie gdy są pieniądze!... Przyznam się, że jest to jedyną moją pociechą, że z mojéj śmierci moi krewni wcale nie będą się cieszyć! Nie ma nic przykrzejszego nad widok krewnych kochających straszliwie bezdzietnego stryjaszka!

— Tak... ale z nią jest jakaś młoda osoba...

— Zapewnie służąca albo *dame de compagnie...*

— Nazwała ją swoją krewną!

— Być może. Żyje jeszcze siostra Palczewskiego, ale ta ma samych synów, którzy pani Elwirze dobrze we znaki się dali! Osobliwie jeden znakomity utracyusz, chciał babulkę nawet raz udusić, jak o tem w całym powiecie opowiadano.

— Czy to majątek dziedziczny?

— Dziedziczny? Gdzież dzisiaj szukać czystych dziedzicznych majątków? To majątek dorobkiewicza. Palczewski był mecenasem, plenipotentem kilku znakomitych fortun w kraju. Fortuny poszły do czarta, ale plenipotent nie wyszedł źle na tem. Uciułał sobie milionik kupił za niego trzy folwarki na Polesiu...

— Jak się zdaje pani Palczewska żyje tutaj z pewną ostentacyą! Mieszka w drogim hotelu i ma gondolierów w liberyi z herbami!

— Zapewne proteguje jaką kuzynkę, aby ją dobrze za mąż wydać!

Po tych słowach nastąpiła dłuższa pauza.

— Zresztą, mówił daléj pan Michał, było to zawsze jéj słabością. W domu skąpa do ostateczności, za granicą lubiła herby i życie wystawne. Ponieważ Palczewski herbów nie miał, używała więc swego po rodzicach. Rodzi się z Dusieckich. Przedewszystkiem nie chce umierać, twarda babulka!

— Twardszych śmierć zabiera! sentencyonalnie zakonkludowała pani Apolonia.

Po tych wyjaśnieniach, dalsza rozmowa między towarzyszami z młodych lat nie miała już ani dla Elizy ani dla pani Apolonii żadnego większego interesu. Pani Apolonia odeszła do swego pokoju, a Eliza wyszła na balkonik, zkąd widać było gondole snujące się po wodzie. Towarzysze lat młodych pozostali sami i bardzo byli temu radzi. Mogli sobie bez świadków przypominać różne błogie chwile życia spędzonego w wesołem kółku wodwilu i baletu. Używali więc tych wspomnień jak prawdziwi sybaryci, a żegnając się przyobiecali znowu zejść się przy najbliższéj sposobności i dawne szczęścia swoje z rozkoszą odżywiać. Oprócz przyjemności wspólnéj rozmowy, każdy z nich wyniósł z sobą to przekonanie, że towarzysz jego więcéj się od niego postarzał.

VIII.

Po wydarzeniach tego dnia nastąpił znowu czas spokojniejszy. Pani Elwira odwiedziła z Flaminią państwa Jastrzębców, a Jastrzębowie byli znowu u niéj kilka razy z Elizą. Zawiązały się bliższe stosunki towarzyskie. Elizie osobliwie były te stosunki bardzo na rękę. Ojciec bowiem kąpał się w morskiéj wodzie dwa razy dziennie, a pani Apolonia w takim razie jak zwykle czuwała nad mężem. Eliza była więc skazana często na samotne przesiadywanie w pokoju. Miała wprawdzie balkonik, ale z balkonika nie można było widzieć całego *canal grande*, ani pałaców jego. Pani Palczewska zawsze więcéj używała powietrza nadmorskiego niżeli wody. Po kilka godzin dziennie przepędzała na łódzce z Flaminią. Eliza mogła z tego korzystać. Mogła z panią Palczewską być na wodzie, a potem jeszcze używać przejażdżki z rodzicami. Wprawdzie wolałaby gdyby to towarzystwo było okaźniejsze, ale za granicą można było i tem się zadowolnić. Była gondola z liberyą i herbem, w hotelu nazywano staruszkę *conterra*, były znaczne pieniądze na wydatki o lepszą rekomendacyą za granicą trudno.

Mając takie plany weszła Eliza w bliższe stosunki zażyłości z Flaminią, co jéj bynajmniéj trudno nie przychodziło. Miała bowiem wiele sympatyi dla téj prawdziwie sympatycznéj dziewicy, która za to wywdzięczyła się jéj siostrzanem prawie przywiązaniem. I obie wkrótce przywiązały się bardzo do siebie, a pani Palczewska rada była temu, bo to dla staruszki było zawsze pewną rozrywką mieć w koło siebie więcéj ożywienia.

I stało się, że Flaminia nigdy bez Elizy nie była na gondoli, a Eliza bez Flaminii nie płynęła przez *canal grande*. To ożywiało je wspólnie a płynący obok turyści podziwiali nieraz wesoły humor przyjaciółek, które jakby dla kontrastu siedziały zawsze przy sobie. Flaminia bowiem była złota blondynka jak promienie zachodzącego słońca, a Eliza miała czarne jak heban włosy i takiego koloru duże, połyskujące oczy.

Wkrótce też były znane wszystkim ciekawszym spektatorom z lądu i wody, a gdy się ukazały czy to na gondoli czy na marmurowych chodnikach przed ś. Markiem, wszystkich oczy kierowały się na nie, czego bynajmniéj nie ukrywano. Elizie podobała się ta uwaga publiczna, jaką im wszędzie poświęcano, chociaż Flaminia niezawsze była z tego zadowolona.

Osobliwie jeden z natarczywych spektatorów sprawiał jéj to niezadowolenie. Pojawiał się on wszędzie za niemi, gdzie tylko się okazały. Na wodzie jego gondola dotykała się prawie gondoli z herbem polskim, pod Prokuracyami szedł o krok za niemi.

Eliza znała dobrze tego niezłomnego człowieka, ale przed Flaminią nic o nim nigdy nie mówiła. Była pewną, że przy jasnéj blondynce daleko lepiéj wydają się czarne jéj włosy i oczy i że z tego powodu tem większe wrażenie sprawia na nieznajomym, który literalnie gdzieś w ukrytym miejscu czatuje na nią.

Spostrzegła nawet, że to wrażenie co noc więcéj się wzmaga u niego. Gdy w wielkim były tłumie, nieznajomy zdradzał niemałą niecierpliwość, a czasami nawet bardzo zręcznie ten tłum rozbijał, robiąc nieznacznie dla nich drogę.

Te drobne usługi chwytały Elizę za serce, starała się okazać mu to wejrzeniem i nieznacznym uśmiechem, z czego nieznajomy mocno był zadowolony.

O tych skrytych swoich sukcessach nigdy przed Flaminią nic nie mówiła. Uważała za stosowne schować tajemnicę swoją w głębi duszy jako kobieta już doświadczona. Uśmiechała się tylko z zadowoleniem, gdy złotowłosa towarzyszka skrzywiła się na widok natrętnego człowieka, który wszędzie i zawsze zastępywał im drogę.

Zwierzenia swoje familijne ograniczyły obie przyjaciółki do koniecznych tylko wyjaśnień. Eliza dowiedziała się od Flaminii, że ona nie ma rodziców i że jest dalszą krewną p. Palczewskiéj. Flaminia zaś wiedziała od Elizy że rodzice jéj mają na Podolu bardzo znaczny majątek i że Eliza ma jednego tylko brata.

Tak minęło znowu trochę czasu.

Pewnego dnia miała pani Palczewska jakiś pieniężny interes i w tym celu sama tylko przywlokła się z pomocą służącego do państwa Jastrzębców.

Przyjęto staruszkę bardzo kordyalnie i posadzono na kanapie żółtym adamaszkiem wybitéj.

Staruszka była mocno rozdrażniona. Trzymała w drżącéj ręce jakieś papiery podłużnie złożone i ruszała ustami, jakby w duchu coś do siebie mówiła.

— Wyobraźcie sobie państwo, ozwała się wreszcie, jak to człowiek jest nieszczęśliwy. Nietylko że ludziom oczy bolą gdy patrzą na moją pracę, jeszcze dopuszczają się różnych podstępów oby mnie tylko prędzéj do grobu wtrącić!...

I zrobiła tragiczny giest ku ziemi, jakby tam już otwarty grób widziała.

— Cóż to się stało? zapytał pan Salezy.

— Ach! I na wołowéj skórze nie spisałby tego, gdybym wszystko chciała wypowiedzieć. Ot nieszczęście i kwita, gdy człowiek ma głodnych krewnych, a sam jest syty i poszyty! Ale ja ich wszystkich w pole wyprowadzę!...

— Czy mogę pani jaką radą służyć?

— Właśnie chce się państwa poradzić. Siostra mego nieboszczyka męża ma między innymi jednego syna, który jest skończonym szubienicznikiem! Nawyrywał on niemało pieniędzy ode mnie, a raz nawet, gdyby przypadkiem ksiądz proboszcz nie był nadszedł, byłby mnie rozbójnik udusił!

— Za prawdę bardzo smutna sytuacya!

— I powiadam państwu, że w kraju nawet z tego powodu nie jestem pewna życia. Krewnym się zdaje że za długo żyję na ziemi, że dawno powinnam była już umrzéć!

Staruszka zrobiła znowu giest ręką, jakby śmierć od siebie odpychała!... Po chwili mówiła daléj:

— Tylko jedna Flaminia z nich udała mi się. Jest ona dalszą krewną... biedną sierotą... rodzice jéj.....

Tu zrobiła znak ręką jakby daléj mówić nie chciała.

Kilka chwil zapanowało milczenie. Opowiadanie staruszki sprawiło na wszystkich niemałe wrażenie.

— Otóż Flaminia, mówiła po chwili staruszka, to jest dziewczyna z sercem i lepszego losu warta. Chcę o niéj pomyślić, aby na złość temu utracyu-

szowi... Wyobraź sobie pan co im do głowy przyszło!

Staruszka wyjęła z pomiędzy papierów list jakiś.

— Ponieważ się wszyscy obawiają, mówiła dalej patrząc w list rozwinięty, a może obawiają się i słusznie, że cały majątek Flaminii zapiszę... otóż ten szubienicznik piszę do mnie, że nic nie miałby przeciw temu, ale wzywa mnie, abym w takim razie przysposobiła Flaminię jemu za żonę!... Wyobraźcie sobie państwo co za potwór! Flaminia, ten anioł wcielony... jego żoną! Biedna dziewczyna spłakała się dzisiaj jak bóbr, gdym jéj o tem powiedziała!

Znowu głębokie nastąpiło milczenie. Opowiadanie staruszki dało wszystkim wiele, bardzo wiele do myślenia. Osobliwie Elizie dostarczyło ono dużo materyału do poważnego zastanowienia się.

— I cóż pani chcesz zrobić? zapytał po chwili pan Salezy.

— Chcę przedewszystkiem coś zrobić, odpowiedziała staruszka, coby raz na zawsze odebrało nadzieję tym ludziom, którzy tak gorąco mojéj śmierci pragną!

— Uczynić zapis w obec świadków i notaryusza...

— Tak... zapis zrobię! Zapiszę Flaminii wszystko!

Głuche nastało znowu milczenie. Pan Salezy zaczął bębnić palcami po stole, pani Apolonia przerwała jakąś robótkę kobiecą a Eliza podparła ręką głowę i z twarzą ożywioną wpatrzyła się w staruszkę.

Trwało to czas niejaki. W głowach całéj rodziny rozgrywały się teraz rzeczy bardzo ważne. Instynktem wpadli wszyscy na jedną myśl i ta myśl rozwijała się teraz przed całą rodziną w jakiś cudny, bardzo ponętny obraz!...

Odetchnął całą piersią biedny paralityk jakby do tego napowietrznego obrazu wzdychał i rzekł:

— Jeżeli pani tak uczynić postanowiłaś, to nic łatwiejszego, jak temu postanowieniu dać prawną formę. Najprostrza rzecz... testament!

Usta staruszki zbladły.

— Testament? powiadasz pan... ozwała się drżącym głosem, testament każesz mi pan pisać?...

— To jest tylko forma zapisu, pospieszył pan Salezy aby złe wyrażenie słów swoich złagodzić.

— Testament! powtórzyła staruszka z większą jeszcze melioracyą głosu.

— Nie wypływa ztąd, abyś pani umierała! dorzuciła od siebie pani Apolonia, chociaż na to człowiek zawsze powinien być przygotowany!

Staruszka wystraszonem okiem spojrzała na mówiącą, a usta jéj jeszcze bardziéj zbielały.

— Ja przecież nie mam na myśli umierać, odrzekła, czuję się nawet teraz zdrowszą o wiele, niżeli tamtego roku! Na co mi tak prędko umierać!

Zaśmiał się jak mógł najweseléj pan Salezy.

— Cha, cha, cha! Masz pani słuszność. Ja sam to zawsze mówię. Jeżeli zaczynać żyć to najwcześniéj, jeżeli umierać to najpóźniéj!

— Dobrodzieju, niech cię za to uściskam! zawołała weseléj staruszka, już ja tam tym ludziom nigdy nie wierzę, którzy powiadają, że chcą umrzéć!

— Kłamcy pani dobrodziéjko, nic więcéj!

— Prawda? Ja też tego wcale się nie wstydzę, jeżeli otwarcie powiadam, że chcę żyć a umierać się boję!

— Wszyscy tak sobie myślimy, tylko język często kłamie!

Staruszka powstała z kanapy.

— A wracając do tego zapisu, skryptu, czyli aktu przeniesienia własności, ozwał się pan Salezy wymijając starannie fatalne słowo: testament.

Wrażenie śmierci było u staruszki jeszcze zbyt świeże aby na te słowa tak odpowiedziała, jak tego życzył sobie pan Salezy.

— Zostawmy to na późniéj! odpowiedziała kaszląc staruszka i zawołała na służącego, aby ją wyprowadził.

Po jéj wyjściu zapanowało w pokoju długie milczenie. Pozostali widocznie zatopili się w jakichś głębokich myślach. Pan Salezy ułożył ręce swoje na kolanach jak mógł najwygodniéj, aby mu reumatyzm nie dokuczał, pani Apolonia wzięła czemprędzéj swoją robótkę szydełkową, przy któréj zwykła była układać najświetniejsze plany rodzinne, wywołujące niemały efekt w całéj parafii, a Eliza po prostu oparła głowę na ręce i w taki bardzo naturalny sposób bez żadnych ogródek oddała się myślom swoim.

Trwało to bardzo długo. Od czasu do czasu spojrzał pan Salezy z ukosa na żonę i córkę, czy która z nich pierwszego nie przyniesie słowa, ale nadzieje jego były daremne. Widocznie było, że proces myśli jeszcze się u nich nie zakończył. Ojciec rodziny czekał więc cierpliwie tego końca.

O to samo możnaby posądzić tak panią Apolonię. Mimo wszelkiéj uwagi, jaką robocie swojéj poświęcała, można ją było schwytać na gorącym uczynku, jak z pod oka na męża i córkę patrzała, chcąc z ich twarzy coś wyczytać.

Eliza najmniéj pokrywała swoje myśli. Widocznie była zatopiona w rozsnuwaniu jakiegoś planu, który był dosyć ważny i sprawił jéj niemałe zadowolenie. Jasne światła połyskiwały często na jéj twarzy a od czasu do czasu przebiegł po jéj ustach rozkoszny uśmiech, jakby wymarzone szczęście zajrzało jéj w oczy...

Wreszcie odkrząknął pan Salezy. Milczenie rodzinne wydawało się już za długie. Pani Apolonia odpowiedziała także krząknięciem, co było oznaką, że z nim w téj mierze się zgadza. Chodziło jeszcze o jeden głos, aby osiągnąć zupełną zgodność w rodzinie, ale ten głos nie nadchodził. Eliza milczała ciągle, a wysoko podniesione czarne brwi nad oczami okazywały, że znajduje się właśnie na wyżynach swoich myśli.

Pan Salezy po niejakim czasie podwoił dozę, krząknął dwa razy raz po raz. Jak echo odpowiedziała na to małżonka. Eliza... pozostała niema i milcząca.

(d. c. n.)

KAPLICA.

(z Uhlanda).

Na wzgóreczku lśni kaplica,
Na dół smętne zwraca lica,
A na łące, przy jeziorze,
Nuci pasterz w wiosny porze.

Dzwonek jęczy tak płaczliwie,
Pieśń pogrzebna brzmi straszliwie;
Wnet wesoła piosnka zgłuchła,
A pastuszek tylko słucha.

Na wzgóreczek w grób ich noszą,
Co poili się rozkoszą;
O! pastuszku, bacz to sobie,
Kiedyś zabrzmią tam i tobie!

Józef Chmielewski.

KONSTANTYNOPOL.

(Wyjątki z dzieła pod tymże tytułem przez Edmonda de Amicis)

PRZEZ

Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

„Kawas Turek pokazał nam znów filar, na którym sułtan Mahomet II, wchodząc do kościoła Ś. Zofii jako zwycięzca, jakby podpis na swéj zdobyczy, zostawił krwawe odbicie swéj prawicy. Daléj, około mirabu, wskazał nam okno, zwane *zimném oknem*, przez które wchodzi nieustannie powiew świeżego powietrza, które dawało natchnienie najznakomitszym kaznodziejom i doktorom islamu. Na lewo, od strony drzwi w północnéj stronie, pokazał nam *potniejącą kolumnę* pokrytą bronzem, przez którą małą szczeliną widać zawsze wilgotny marmur.

„Gdyśmy doszli do zamurowanych drzwi galeryi, drogman opowiedział nam słynną legendę o biskupie, z przejęciem zdradzającém silną w nią wiarę. W chwili, mówił, gdy Turcy wpadli do kościoła Ś. Zofii, biskup odprawiał mszę przed wielkim ołtarzem. Zobaczywszy dzikich najeźdźców, odstąpił z kielichem od ołtarza, wszedł na galeryą, a ścigany przez żołdaków, znikł po za małémi drzwiczkami, które w tejże chwili gruby mur zasłonił. Żołnierze zaczęli rozbijać mur z wściekłością, ale zaledwie ślad ich uderzeń zarysował się na nim. Zwołano mularzy, ci dzień cały pracowali oskardami i drągami — daremnie, wszyscy z kolei znajdujący się w Konstantynopolu mularze, padali z utrudzenia, cudowny mur pozostał nienaruszony. Ale przyjdzie chwila że mur ten się rozstąpi, a to w dniu gdy sprofanowana świątynia zostanie zwrócona czci Chrystusa. Wtedy to biskup grecki wyjdzie témi drzwiami, w pontyfikalnych szatach, z rozpromienioną twarzą, z kielichem w ręku, i wszedłszy na stopnie ołtarza, rozpocznie mszę św. od miejsca w którém ją przerwał. I w owym także dniu, przedświt nowych wieków zajaśnieje nad Konstantynopolem.

„Gdyśmy opuścili meczet, drogman opowiedział nam dzieje profanacyi kościoła Ś. Zofii. Powtórzymy je pokrótce, jako zupełnie zgodne z historyą.

„Około siódméj rano rozeszła się wieść, że Turcy przedarli się za mury, i niezliczone tłumy zaczęły cisnąć się do kościoła. Zebrało się blizko 100,000 osób: uciekający żołnierze, zakonnicy, księża, senatorowie, tysiące dziewic wybiegłych z monasterów, rodziny patrycyuszów ze swémi skarbami, wielcy dostojnicy i książęta krwi cesarskiéj, i wszyscy rozbiegli się po nawie, kaplicach i galeryach, pómieszani z niewolnikami, zbrodniarzami, wyrzutkami z więzień i galer, a w całéj bazylice rozlegały się krzyki przerażenia i rozpaczy. Gdy tłumy zapchały już świątynię, zamknięto i zabarykadowano drzwi: wrzawa ucichła, wszyscy oczekiwali w niemém przerażeniu. Wielu sądziło że zwycięzcy nie poważą się znieważać kościoła Ś. Zofii; inni ubezpieczeni wiarą w jakąś przepowiednię, oczekiwali ukazania się Anioła, mającego wytępić muzułmanów, zanim ich awangardy postąpią ku kolumnie Konstantyna; inni jeszcze, wszedłszy na wewnętrzny taras wielkiéj kopuły, śledzili postępy wrogów, zawiadamiając o nim pozostałych w nawie i na galeryach. Cztery kolumny najezdców, niszcząc wszystko ogniem i mieczem, zwróciły się ku Ś. Zofii, Hipodromowi i pałacowi cesarskiemu. Coraz le

piéj dochodził dźwięk trąb i rogów, pomieszany odgłos broni i głosów rozległ się w kościele, a za chwilę dały się słyszéć pierwsze ciosy siekier ottomańskich, wymierzane w bronzowe drzwi przedsionku. Dreszcz śmiertelny przebiegł zbite tłumy, wszyscy padli na kolana polecając się Bogu. Runęły drzwi wysadzone z zawias, i dzikie hordy janczarów, spahów, timariotów i derwiszów, pokrytych kurzem i krwią, pijanych wściekłością bitwy, gwałtów i grabieży, ukazały się w progu. Zobaczywszy nawę połyskującą skarbami, wydali dziki okrzyk radości i wpadli do wnętrza jak rozhukany potok. Jedni porywali dziewice, szlachetne panie, patrycyuszów i dostojników, którzy tracąc przytomność z przestrachu, bezwładnie podawali ręce pod powrozy i łańcuchy, inni rzucili się na skarby i bogactwo kościoła. Zrąbali cymboryum, krucyfiks z kości słoniowéj, posągi świętych, a biorąc mozajkę pokrywającą mury za drogie kamienie, obijali ją i zabierali w worki i w kaftany. Porąbali wielki ołtarz, zębami i sztyletami wyłupywali drogie kamienie, kaleczyli, zabijali nieszczęsnych chrześcian. Upojeni tryumfem i bogatémi łupami, do ostatnich krańców posuwali szał i wściekłość; przywdziewali kapłańskie szaty, bezcześcili naczynia kościelne, parodyowali święte obrządki; straszna orgia dochodziła do wściekłego szału — aż nagle wszystko ucichło: na progu wielkich drzwi ukazał się Mahomet II otoczony hufcem książąt, wezyrów i jenerałów, pyszny i niewzruszony jak żywe uosobienie pomsty Bożéj. Prostując się dumnie, grzmiącym głosem wygłosił w opustoszonéj bazylice pierwszą formułę nowéj religii: „Allah jest światłością nieba i ziemi!

X.

Stary Seraj.

Nikt ze zwiedzających Konstantynopol nie może pominąć Starego Seraju tego zieleniejącego wzgórza pełnego tajemnic, nęcącego tak zaciekawiającemi obietnicami tak z morza jak ze wszystkich punktów miasta przykuwającego wzrok czemś nieznanem, wyobraźnię jakąś nadzieją cudów z „Tysiąca i jednéj nocy.“

Jakoż rzeczywiście w całéj Europie nie ma miejscowości, któréj sama już nazwa przywodziłaby na pamięć tak dziwną mieszaninę pięknych i przerażających obrazów, o którychby tak wiele pisano, mówiono, myślano i próbowano odgadnąć tajemnice, któreby przez wieki dawało powód do tylu niepewnych i sprzecznych z sobą pogłosek i po dziś dzień pozostała przedmiotem tak nienasyconéj ciekawości, tylu niedorzecznych przesądów i cudownych opowieści. Obecnie każdemu wolno zwiedzać Stary Seraj i wiele osób opuszczają go rozczarowani. Mimo to można być pewnym, że jeszcze za kilka wieków, gdy z potęgi tureckiéj w Europie może wspomnienie tylko pozostanie, żaden podróżnik nie zaniedba zwiedzić starożytnych kiosków i pałacu kalifów Konstantynopola, przypominających najświetniejsze ich czasy, i nie jeden archeolog śledzić tu będzie śladów drzwi i przejść i podziwiać ruiny rozsypane na morskiém wybrzeżu.

Stary Seraj nie odznacza się szczególną pięknością architektury, nie jest to tak wspaniały pomnik artystyczny jak Alhambra, główną jego zaletę stanowi iż jest jakby dokumentem historycznym przedstawiającym dzieje całéj dynastyi ottomańskiéj, a na murach i pniach drzew jego wypisane są najtajniejsze fakta jéj kroniki. Do uzupełnienia jéj brakuje tylko historyi dwóch wieków poprzedzających zdobycie Konstantynopola i otatnich trzydziestu pary lat.

Od Mahometa II który wzniósł pierwsze fundamenta Starego Seraju aż do Abdul-Medżida, który go opuścił przenosząc się do pałacu Dolma-Bakcze, zamieszkiwało tu dwudziestu pięciu sułtanów. Tu osiedliła się dynastya zaraz po zdobyciu swéj europejskiéj stolicy, tu dosięgła szczytu potęgi swéj i rozwoju, tu zaczęła chylić się do upadku. Był to zarazem pałac, forteca i świątynia, głowa państwa i serce islamu; było to miasto w mieście, wielka wspaniała cytadela zamieszkana przez lud cały i broniona przez całą armią, obejmującą w swym obrębie nieskończoną rozmaitość gmachów, miejsc rozkosznych i przejmujących wstrętem; miasto, wieś, pałac, arsenały, szkoły, meczety; tu miały miejsce naprzemian festyny i rzezie, ceremonie religijne i miłostki, poważne uroczystości dyplomatyczne i najdziwniejsze szaleństwa; tu sułtanowie rodzili się, wychowywali, wstępowali na tron; zostawali z niego strącani, osadzani w więzieniu i skazywani na śmierć: tu knuły się wątki wszystkich spisków i rozlegały odgłosy wszystkich buntów; tu napływało złoto z całego państwa; tu błyszczał miecz niezmierzony wiszący nad głowami stu ludów; tu blizko przez trzy wieki zwracały wzrok niespokojny, przerażona Europa, Azya i Afryka, jakby na straszny wulkan co chwila grożący wybuchem.

Potworny ten pałac wznosi się na największéj na wschód wysuniętém wzgórzu Stambułu, pochylającém się zwolna ku morzu Marmora, ku ujściu Bosforu i ku Złotemu-Rogowi, na przestrzeni zajętéj niegdyś przez wielką cytadelę Byzancyum, przez część miasta i jedno skrzydło wielkich pałaców cesarskich. Jest to najpiękniejsze ze wzgórz Konstantynopola i najszczodrzéj uposażone przez przyrodę z całego europejskiego wybrzeża. Tu, jakby do swego centrum, zbiegają się dwa morza i dwie cieśniny; ztąd rozchodzą się wszystkie główne wojenne i handlowe drogi Europy wschodniéj; wodociągi cesarzów byzantyńskich sprowadzają obfite strumienie wody; wzgórza Tracyi osłaniają Stary Seraj od wichrów północy, morze z trzech stron go oblewa. Jest to samotny przylądek leżący na krańcach wielkiéj stolicy, piękny i wspaniały, prawie zupełnie odosobniony, jakby stworzony przez przyrodę aby stanowił piedestał wielkiego państwa i potężnéj monarchii i przybytek monarchy, prawie bóstwa, pędzącego tu najrozkoszniejsze życie.

Nie będziemy opisywać Starego Seraju jakim jest teraz, gdyż opuszczony od lat przeszło trzydziestu, tylu uległ zmianom i przeistoczeniom, iż obecny stan jego nie odpowiada wspaniałéj przeszłości, wolimy zatém przedstawić go jakim był w najświetniejszych czasach potęgi ottomańskiéj.

Na szczycie wzgórza wznosił się wówczas rozległy czworokąt gmachów Seraju podzielonego na trzy wielkie dziedzińce, czyli raczéj trzy małe miasta zbudowane około trzech placów nierównéj wielkości, na których roztaczały się tarasy pełne cudnych kwiatów, złote kopuły, białe minarety, jakby napowietrzne kioski, prześliczne ogrody i gaje kryjące się w cieniu olbrzymich drzew. Na całéj przestrzeni dawał się uczuć jakiś powiew rozkoszny, pasterski i wojowniczy zarazem; z jednéj strony gwar i tłum pełen życia, z drugiéj cisza i samotność jakby nekropoli; tu wielkie słońcem ozłocone przestrzenie, tam zacisza niedostępne oczom w nieustannym pogrążone cieniu, a cała powierzchnia podzielona była na tyle działów i poddziałów, że służba i przyboczni oficyaliści mieszkający tam niekiedy po lat pięćdziesiąt, nie wszędzie umieli trafić, a janczarowie błądzili jeszcze podczas trzeciéj napaści.

Główną bramą była i jest dotąd Bab-Humaïun, czyli wspaniała brama, prowadząca na mały plac na którym wznosi się fontanna sułtana Ahmeda, po za meczetem Ś. Zofii. Wielka ta brama z białego i czarnego marmuru, ozdobiona jest bogatémi arabeskami; na niéj wspiera się wysoki budynek o ośmiu oknach, pokryty wystającym dachem, będący mieszaniną stylu arabskiego i perskiego, jakiego trzymali się Turcy w pierwszych latach po zdobyciu Konstantynopola, zanim zaczęli naśladować architekturę byzantyńską. Po nad wejściem, na płycie marmurowéj, zamieszczony jest napis Mahometa II: „Niech Allah zachowa wiekuiście sławę posiadacza tego pałacu i niech utwierdzi jego fundamenta.“

Dawniéj przed bramą tą gromadził się co rano lud Stambułu, aby zobaczyć jakiego téż dygnitarza Państwa lub Dworu głowa spadła w nocy. Głowy takie zawieszano na gwoździach w niszach po dziś dzień istniejących, po prawéj i lewéj stronie bramy, lub téż na srebrnych miednicach wystawiano je na widok publiczny, wraz z podanem obok oskarżeniem. Zwłoki skazanych na powieszenie wyrzucano na plac przed tą bramą. Tu także zatrzymywały się czekając na pozwolenie przekroczenia jéj proga, oddziały wojsk przynoszące z odległych krajów trofea zwycięzkie, składając zdobytą broń, sztandary, głowy wodzów i zakrwawione mundury. Brama ta strzeżona była przez liczny oddział zbrojny, złożony z synów beyów i paszów, wspaniale przystrojonych, którzy z wysokości okien i murów przyglądali się nieustannemu pochodowi ludzi wchodzących i wychodzących, lub wielkimi swémi pałaszami powstrzymywali milczące tłumy ciekawych, pragnących koniecznie choćby przez jaką szparkę zajrzéć do wnętrza, zobaczyć choćby jaki dziedziniec tego olbrzymiego tajemuiczego pałacu, będącego celem najgorętszych pragnień i powszechnéj trwogi. Pobożny muzułmanin przechodząc tędy szeptał modlitwę za swego potężnego władcę; ubogi ale ambitny młodzieniec, marzył o dniu w którym przekroczy ten próg dla otrzymania końskiego ogona; młoda i piękna dziewczyna roiła o wspaniałém życiu sułtanek; rodzice straconych ofiar ze drżeniem pochylali głowy, a na całym placu głucha panowała cisza, przerywana jedynie trzy razy na dzień, głośném wołaniem muezzinów Ś. Zofii.

Z bramy Bab Humaïun, wychodziło się na tak zwany dziedziniec janczarów, który po dziś dzień istnieje. Jest to wielki i długi plac otoczony nieregularnémi budowlami i zacieniony kępami drzew; tu rośnie dotąd olbrzymi platan zwany platanem janczarów, którego pnia dziesięciu ludzi objąć nie zdoła. Pod tym platanem stoją jeszcze dwa słupy kamienne, na których wykonywano wyroki skazujące na ścięcie. Na lewo, wznosi się kościół Ś. Ireny, założony przez Konstantyna Wielkiego, który Turcy obrócili na arsenał. Daléj nieco stał szpital Serajowy, gmach przeznaczony na skarb publiczny, stajnie cesarskie, kuchnie, koszary, mennica i mieszkania wyższych oficerów i dostojników dworu. Bramą tą wchodzili wszyscy mający udać się do Dywanu lub stawić się przed padyszachem. Stu pięćdziesięciu piekarzy i dwiestu kucharzy zajęci byli nieustannie przyrządzaniem żywności dla niezliczonéj rodziny „żyjącéj chlebem i solą wielkiego pana.“ Karawany mułów i wielbłądów dostawiały żywność i zapasy kuchenne; broń pokonanych wojsk składano do kościoła Ś. Ireny, w którym obok pałasza Mahometa II błyszczał miecz Skanderberga i naramiennik Tamerlana. Poborcy podatków poprzedzali dźwigających złoto niewolników, i wnosili je do skarbu, w którym, jak to powiedział Sokolli, Wielki Wezyr Solimana Wielkiego: tyle było bogactw iż starczyłoby na wystawienie floty o sre-

brnych kotwicach i jedwabnych linach. Tędy piękni masztalerze z Bułgaryi przeprowadzali 900 koni Murada IV, które jadały w szczero srebrnych żłobach. Od rana do wieczora roiły się tu świetne mundury janczarów, oraz dostojników wojskowych i cywilnych — a w tym niby bezładzie panował drobiazgowy porządek i surowa karność. Na tym dziedzińcu wszystko poruszało się jakby automaty na stole w którym mieści się poruszający ich mechanizm. Równo ze świtem, pojawiało się trzydziestu dwóch muezinów dworskich, wybranych z pośród najlepszych śpiewaków stolicy, zwiastujących dzień z wysokości minaretów meczetów serajowych, a tuż za nimi nadchodzili astrologowie i astronomowie zchodzący z tarasów, na których noc całą obserwowali firmament, aby za pomocą tych dostrzegań oznaczyć szczęśliwe godziny w których sułtan miał odbywać różne czynności. Z kolei przybywał nadworny lekarz serajowy aby dowiedzieć się o zdrowiu sułtana; ulema śpieszący udzielić swemu dostojnemu uczniowi codzienną lekcyą religii; sekretarz czytający sułtanowi prośby podane w przeddzień; oraz nauczyciele sztuk i nauk udający się na trzeci dziedziniec, w którym wykładali je paziom sułtana. Czy to przybywający konno; czy w karetach, czy w lektykach, musieli wysiadać przed drugą bramą, gdyż tylko pieszo przechodzić ją było wolno. Te tłumy najróżnorodniejszych osób, stosownie do piastowanego dostojeństwa lub zajęcia, odróżniały się formą turbanu, krojem rękawów, gatunkiem futer, kolorem podszewki, ozdobami siodeł, brodami, które jedni nosili całe a drudzy same tylko wąsy. Przesuwały się tu tysiące osób. a jednak nigdy żadnego nie było nieładu ani zamieszania, bo wszyscy i każdy z osobna podlegał drobnostkowéj hierarchii i przepisom ceremoniału obejmującego pięćdziesiąt tomów.

Często bardzo przybywały poselstwa zagraniczne, gdyż, jak to pisał Soliman Wielki do szaha Perskiego „tu przybywali przedstawiciele całego świata.“ Ambasadorowie Karola Piątego mijali się z ambasadorami Franciszka I; wysłańcy Węgrzech, Serbii, Polski, wchodzili obok wysłańców rzeczypospolitéj Genueńskiéj i Weneckiéj. W dniu posiedzeń Dywanu, przybywali tu, wystawieni na szyderstwo tłumu, posłowie zbuntowanych prowincyi, wierzchem na osłach, z ogolonemi brodami i w czepku kobiecym, oraz wysłannicy zuchwałych książąt azyatyckich, z nosami obciętemi mieczami *czauszów*. Przechodzili także nieraz urzędnicy państwowi, którym polecono doręczyć jakiemuś gubernatorowi podarek sułtana, i ci nie wiedząc co niosą, oddawali szal kosztowny — a w nim wyrok śmierci. Niekiedy przesuwali się roznosiciele *hatyszeryfów* nieubłaganych jak przeznaczenie, udający się o setki mil, ponieść ruinę i śmierć do pałacu jakiego wicekróla, oraz nadworni niemi, którym polecono zejść do podziemi Siedmiu Wieży i zadusić tam jakichś znakomitych jeńców... A w oczach wszystkich tych tłumów jedna myśl widniała, z czoła wszystkich odczytać można było obawę człowieka wyższego po nad wszystkich, będącego ogólnym celem, przed którym wszyscy korzyli się i czołgali. I zdawało się że we wszystkiém odbijała się jego postać, a nazwa jego dźwięczała w każdym odgłosie.

Z tego dziedzińca przechodziło się na drugi przez wielką bramę Bab-el-Selam stojącą po dziś dzień między dwiema wielkiemi wieżycami, któréj dotąd jeszcze nie wolno przechodzić bez firmanu. Dawniéj brama ta opatrzona była wielkiemi podwójnemi drzwiami zamykającemi się od strony pierwszego dziedzińca, i drugiemi takiemiż od strony drugiego, a tak gdy oboje były zamknięte, w bramie panowała najzupełniejsza ciemność, i łatwo było zgładzić tam kogoś tajemnie. Po nad bramą były pokoiki katów, łączące się skrytém przejściem z salą posiedzeń Dywanu. Tu oczekiwali wyroku popadli w niełaskę wysocy dygnitarze, i często jednocześnie ogłaszano im go i wykonywano, a najczęściéj bywał to wyrok śmierci. Niekiedy znowu, jakiś wypadły z łask gubernator lub wezyr, zóstawał pod jakimś pozorem wezwany do Seraju; wchodził z ufnością pod straszne sklepienie a następnie do sali Dywanu, gdzie przyjmowano go z uprzejmym uśmiechem lub bardzo umiarkowaném napomnieniem, grożącém mu zaledwie kiedyś jakąś małą karą, poczém odprawiano go grzecznie. Oddalał się spokojny, lecz zaledwie wszedł do bramy w któréj nie było nikogo, uczuwał ugodzenie mieczem w plecy, powróz zarzucony na szyję, i ginął nie mając nawet czasu pomyśléć o obronie. Na krzyk umierającego, na obu dziedzińcach sto głów się odwróciło, ale w téj chwili każdy wracał w milczeniu do swego zajęcia. Głowę wystawiano w jednej z nisz Bab-Humaïun, zwłoki rzucano krukom na wybrzeże Ś. Stefana, potem zawiadamiano sułtana, i na tém koniec. Na prawo, pod sklepieniem, po dziś dzień znajdują się drzwiczki żelazne prowadzące do więzienia, do którego wtrącano nieszczęśliwe ofiary jeźli chciano przedłużyć ich konanie lub zmniejszając karę zesłać na wygnanie.

Z bramy Bab-el-Selam, wychodziło się wprost na drugi dziedziniec, tu już dawało się uczuć „uświecone tchnienie Władcy dwóch mórz i dwóch światów“ i każdy pierwszy raz tu wchodzący, zostawał przejęty uczuciem obawy i czci zarazem. Tu wszystko już zwiastowało sąsiedztwo wielkiego-władcy; głosy były cichsze, ruchy uważniejsze, nie słychać było ani tententu kopyt końskich, ani odgłosu dokonywanych prac i zajęć. Służba i żołnierze przechodzili jak najciszéj, spokój jakby świątyni zalegał całą tę przestrzeń, zakłócaną tylko szybszym lotem ptaków uciekających z drzew, lub głośném zamknięciem wielkich drzwi.

(*d. n.*)

Korespondencya z Kijowa.

Już pewno będzie temu lat dwadzieścia z górą jak nie byłem w Kijowie i na kontraktach kijowskich, niedziw tedy, że wszędzie znalazłem wielkie zmiany i w mieście samem i w fizyonomii kontraktowego ruchu. Dziś i droga inaczéj się odbywa; dawniéj człek jechał swoją własną furmanką na fasce bigosu, popasał i nocował po brudnych żydowskich karczmach, dziś wsiadłeś do wagonu i nieopatrzysz się jak już zaświecą ci zdala złote wieże kijowskich cerkwi. Wziąwszy dorożkę z banhofu nie poznajesz miasta, owego skromniutkiego Kijowa: bulwary jak w Paryżu, gmachy jakiejś gotyckiéj architektury, witają podróżnego na wstępie, potém dorożkarz wiezie go na Kreszczatyk, który wygląda jakby *Nowy-Świat* w Warszawie i zatrzymuje się przy jakimś hotelu, których tu pełno, a przepysznych jakby w jakiéj wielkiéj stolicy. A jakie szumne ich nazwiska! Jeden *grand hôtel international*, drugi prosto *grand hôtel*, tam *hotel włoski*, *francuzki*, owdzie wiedeński, Florencya; a nakoniec hotel europejski. Ładnie to brzmi nie ma co powiedziéć, ale jakież drogie numera, zwłaszcza w porze kontraktowéj! Pięć rubli na dobę to bagatela! Są po dziesięć, po dwadzieścia pięć, są i po pięćdziesiąt rubli! Héj! héj! gdzież to owe czasy, kiedy to bywało jeszcze mój ojciec nieboszczyk, płacił za cały dom *na Padole* na całe kontrakty rubli czterdzieści, a jeżeli się komu zdarzyło kiedy zapłacić rubli sześćdziesiąt, *czterysta złotych*. to już mówiono że miał kwaterę magnacką *całą gębą*. Padoł, w owe czasy, był główném miastem; po spaleniu się Kijowa w 1811 r. Padół zabudował się porządnie, według regularnego planu, domy stanęły po większéj części murowane, ze spalonego starego ratusza, cegła posłużyła do wzniesienia kontraktowego domu, w tych czasach bowiem przeniesiono kontrakty z Dubna do Kijowa. Cały ruch kontraktowy był na Padole; tu szlachta Wołynia, Podola i Ukrainy zjeżdżała się na zabawy, parę tygodni przeżyło się wesoło, a tak prędko jakby moment jeden; bawiono się, umizgano i nie jeden młody chłopak powrócił do domu z obrączką na palcu. Ej! jakież bo to panny były wtedy! No, ale to *tempus preteritus*. i dziś ich powabom nic ująć nie można. Powróćmy raczéj do teraźniejszości: cóż dziwnego, że wtedy było wesoło, kiedy serce było młode, kiedy w duszy wszystko się uśmiechało! Odczytajcie lepiéj „*kulig*“ Syrokomli, a on wam to lepiéj, zapewne, wytłomaczy odemnie.

Za parę rubli na dobę znaleźliśmy sobie wreszcie jakiś numerek bardzo wysoko. Towarzysz mój pocieszał się w biedzie, śpiewając sobie pod nosem starą piosnkę z krakowiaków i górali: „na górze mieszka sława, a szczęście jeszcze wyżéj!“

Zeszliśmy na dół do traktyerni. Tu było ludno, gwarno, pełno kontraktowiczów! Ale twarze jakieś zafrasowane, niewesołe; rozmowa toczyła się wszędzie o wieściach z Wetlanki, o wyjeżdżających ztąd lekarzach nad Wołgę, o tém że pszenica stoi nizko, kupcy boją się tego, żeby handel, w skutek mogącéj nastąpić kwarantanny, na morzu nie upadł, Inni znowu mówili o cenie mączki cukrowéj i rafinowéj, która dotychczas nie może się ustalić, a wszyscy razem narzekali na ciężkie czasy, drożyznę i brak pieniędzy, a co jeszcze gorsza na brak kredytu. Choć duszę zastaw nikt złamanego grosza nie da. Rzeczywiście jest to bardzo smutna okoliczność! kiedy ktoś z młodzieży wspomniał coś o operze, *Marcie* czy *Aidzie*, jeden z obecnych odpowiedział im niechętnie:

— A! co tam opera! Bekniemy i my Tadeusza! Słyszana to rzecz, że i żyd nawet, rozumiesz—*żydzi* nie chcą już pożyczyć pieniędzy, choć tylu ich i to z całym kahałem, oblega obecnie drzwi hotelów, a każden z nich ma na ustach, jeden tylko wyraz *geld*! Wszyscy upominają się o oddanie starych długów, a nanowo pożyczyć nie chcą. ani feniga! To już chyba koniec świata, czy co?

Pojechałem z p. Hilarym, moim kolegą na Padół, gdzie jarmark, po staremu, ma miejsce i teraz jeszcze. Na placu, przed kontraktową salą, ciągną się budy, czyli, jak je tu nazywają bałagany, ale po większéj części są to miejscowi żydki, którzy na czas jarmarku roztasowali swoje kramiki. Najwięcéj jest tu kramów z garderobą, dla lokai, drobiazgi, budy z perkalikami, daléj sklepy z rybą od któréj dziś wszyscy stronią, bo widzą w niéj mieszkankę Wołgi, sąsiadkę nieszczęśliwéj Wetlanki. W sali kontraktowéj pełno także na dole kramików żydowskich z drobiazgami, z garderobą damską, a na górze Ormianie i Bucharowie z towarami bławatnemi, od których wieje postrachem nadwołzkie powietrze. Dawniéj w téj górnéj sali pod ścianami tylko były kupieckie pułki, środek zaś wolny służył do dawania koncertów. Jak tu się nic nie zmieniło od lat kilkudziesięciu, mówiliśmy sobie z p. Hilarym; wszystko tu tak jest, jak było dawniéj, a myśmy się tylko postarzeli! Zdaje się nam, że to wczoraj, jak słuchiwaliśmy tu w téj samej sali Romberga, Karola Lipińskiego, Artôta,

Drejzoka, braci Kąckich, braci Wieniawskich, i Liszta! Liszt stanowi epokę w dziejach górnéj sali kontraktowego domu. Odegrał on tu tylko pierwszy swój koncert, po którym powiedział: „*voila pour la première fois de ma vie que j'ai joué dans une boutique!*“ Drugi koncert grał już on w sali uniwersyteckiéj i odtąd sala kontraktowa przestała być koncertową. Bo też nie była już ona jedyną salą miasta. Dziś grywają koncerta w teatrze na sali giełdowéj, w sali pierwszego gimnazyum, lub w sali uniwersytetu, albo ratusza. Obecnie jest to nawet daleko wygodniéj dla słuchaczy, odkąd hotele Kreszczatyku pochłonęły w sobie wszystkich przybywających do miasta kontraktowiczów. Dawniéj kontrakty kijowskie były bardzo muzykalne; zwiedzali je wszyscy najsławniejsi wirtuozi, wyjąwszy tylko Paganiniego i pani Catalani. Od lat dziesięciu, lub piętnastu może, jakoś tu głucho, kiedy po większéj części przyjeżdżają tu tylko dla interesów cukrowarskich sami mężczyźni, a damy pozostają w domu.

Na początku naszego wieku na górnéj sali kontraktowego domu, grano tu jeszcze inne sztuki, czasami bardzo *mestoso*: oto panowała tu *ruletka* i *faraon*. Potém w osobnych pokojach górnego piętra mieściły się *akta kontraktowe*. Tu można było widziéć—jeszcze w czwartym dziesiątku wieku naszego beczki z brzęczącą monetą, srebrną i złotą, a składane w aktach kontraktowych, dla wypłaty długu, lub za nabyty majątek. Zwyczajnie na tych beczkach leżeli dorodni kozacy dworscy, w szerokich hajdawerach, z ogromnemi wąsami, a jeszcze większym osełedcem zawiniętym za ucho. Dziś to wszystko należy już do pięknych dni przeszłości.

Im więcéj słońce żywota naszego kłoni się ku zachodowi, tém większe cienie padają na nas. Kontrakty kijowskie zgromadzały lat temu kilkadziesiąt myślących ludzi pióra; w tym czasie ukazywały się zwyczajnie w księgarniach Józefa Zawadzkiego i Teofila Glücksberga, najpoczytniejsze płody naszego piśmiennictwa. Nieraz zachodzono umyślnie wieczorami do magazynów tych księgarzy, ażeby zobaczyć tam którego z pisarzy naszych. Pamiętam w 1838 r. w czasie kontraktów, na wieczorze u Józefa Korzeniowskiego, widziałem zgromadzonych razem: H. Rzewuskiego, M. Grabowskiego, J. Strutyńskiego, X. Ignacego Hołowińskiego, Aleks. Grozę, Aleks. Pszezdzieckiego, Konstant. Podwysockiego, Stefana Zienowicza, Maksymiliana Jakubowicza, i Ignacego Daniłowicza. Dziś — po latach czterdziestu prawda! i Józef Korzeniowski i wszyscy jego goście ówcześni leżą w ziemi, śpią sobie snem wiecznym. Zawiązało się było potém w Kijowie gronko pisarzy młodszego pokolenia, tak nazwanych *gwiaździarzy*. Z tych ulubieniec ogółu *Zenon Fisz*, który lubił pisywać w Tygodniku petersburskim i w *Gwiaździe* kijowskiéj zabawne szkice szlachty, zbierającéj się i gwarzącéj na sali kontraktowéj. Dziś i sala pusta i jéj fotograf nie żyje, równie jak i sam wydawca Gwiazdy, Jakób Jurkiewicz, czyli Benedykt Dołęga. O! nie napróżno ksiądz Baka napisał swój poemat „*O śmierci niechybnéj!*“ Wszystko przemija! Pomimowolnie, czasami, chwyta się pióro, żeby napisać o tych ludziach, z któremi się żyło, których się znało bliżéj. Dopełnię tego w późniejszym czasie.

W 1843 roku zwiedził, po raz pierwszy, Kijow J. I. Kraszewski: było to właśnie podczas kontraktów; mieszkał na probostwie, w kwaterze Ks. Ign. Hołowińskiego. Skromna kwatera księża, zmieniła się była wtedy w świetny salon litoracki, w którym hr. Rzewuski odczytywał pierwszy zarys swojego Listopada, zarys mówię, bo wskutek rad, udzielonych mu od Grabowskiego i Hołowińskiego, forma pierwotna dzieła została zmienioną, Podczas tych kontraktów występował też z koncertem Karol Lipiński. Jeden z moich znajomych był na koncercie i tam ktoś pokazał mu Kraszewskiego.

— No! rzekł on do mnie prostodusznie: teraz koncert daleko taniéj mi się obejdzie; można śmiało liczyć dziesięć złotych za muzykę, a dziesięć za widzenie autora Witolorandy.

Po miastach prowincyonalnych nieraz ci którzy przychodzą do księgarni lubią tam zasiedziéć się i, przy książkach, pogawędzić sobie o literaturze. To zastępuje im brak wieczorów literackich. Otóż w jednéj księgarni w Kijowie byłem świadkiem takiego zgromadzenia literackiego, a że tam mówiono wiele o pismach peryodycznych warszawskich, przeto sądzę, że i dla tych pism nieobojętną byłoby rzeczą dowiedziéć się o tem, co o nich tutaj mówią. Jeden jegomość powstawał na to, że pisma illustrowane zanadto *illustrują*; twierdził, nie bez słuszności zapewne, że u nas papier, pod każdym względem drogi, druk to samo, więc każda zadrukowana karta musi być téż drogą i dla czytelników nie obojętną wcale rzeczą, czy miéć coś wydrukowanego, czy nieraz lichą kliszę tylko. Otóż dzieje się, mówił, u nas w praktyce, wcale przeciwnie. Jeżeli pp. wydawcy nie mają czegoś do druku, to zaraz na całym półarkuszu zamieszczają jakąś mazografią, od siedmiu boleści! Jeszcze zgadzamy się, mówił daléj, na rysunki, kiedy te są albo bardzo ładne albo zajmujące; ale zapełniać szpalty pism ladajakiemi, a osobliwie *obcemi* dla nas kliszami, dalipan nie godzi się.

Zgodziłem się na to zupełnie i sądzę nawet, że każden się ze mną na to zgodzi. Potém ktoś drugi powstawał na nawał opisów z wystawy paryzkiéj.

— Oto panie, mówił. *ktoś* pojechał do Paryża i nuż z tego powodu pisać audrony. Bo to opisuje, panie, nietylko to co widział, ale i to nawet czego nie widział.

— Wolne żarty! powiedział ktoś na to, ze strony, jakże opisywać to czego kto nie widział?

— Ba! i jabym tak myślał, ale jeden z reporterów wysłanych do Paryża, opisuje po drodze katedrę kolońską, któréj—jak sam to powiada, nie widział, bo opatrywał ją w nocy, a noc była ciemna, choć oko wykol! Pomimo to jednakże, katedra owa dała mu materyału do dziennika na ćwierć szpalty.

— Jeżeli tak, to mają racyą redakcye umieszczając w nieurodzajną porę zamiast czczego zbioru liter chociażby nawet ladajaką jak powiadasz mazografią.

— Prawda i to, mówił daléj tenże Jegomość, że ten pan *ktoś* odznaczył się także tém, że odkrywał w Paryżu rzeczy takie; o których dotąd nikt nigdy jeszcze nie słyszał.

— Albož to mało? rzekłem mu na to. Dziś, kiedy się wszystko przejadło znaleźć coś nowego to czegoś warte!

— Tak, zawołał na to znowu mój przeciwnik; ale wiesz jakie ten *ktoś* zrobił odkrycie? Oto ni mniéj ni więcéj, tylko odkrył on *drugą* katedrę w Paryżu.

— Jakto? spytałem.

— A tak: powiedz mi, jak się nazywa katedra paryzka?

— Ma się rozumiéć kościół N. Panny owa *Notre dame de Paris*, katedra, któréj Wiktor Hugo dał nam kiedyś tak uroczy i tak poetyczny opis.

— Otóż nie, p. *ktoś* bowiem pisze wyraźnie, że katedrą paryzką jest *kościół inwalidów*.

— Nie może być! zawołałem niedowierzająco.

— Ba! cóż nie może być pod piórem pewnych panów.! Tenże sam Jegomość zawołał naprzykład wymownie w temże piśmie, że marsylianka zburzyła Bastylią! Bastylia, jak wiadomo, była zburzoną 14 lipca 1786 przez lud paryzki, zastęp zaś marsylczyków, dla których skomponowaną była marsylianka, pojawia się dopiéro 1792 roku w Paryżu. Jakiż tedy może być stosunek marsylianki do Bastylii, kiedy jeszcze nie istniała? Jak mogła ona, pytam więc, burzyć Bastylią kiedy ta już była do szczętu zburzoną?

Kiedy tak mówiliśmy sobie o pismach warszawskich, kolega nasz p. Erazm, który zdrzemnął się w kącie, obudził się i rzekł, chcąc także niby należéć do téj literackiéj rozmowy.

— Co to już i mówić o tém! Dawniéj nie takie wydawano książki! Pamiętam że kiedyś, o! dawno już temu, jedna pani wydawała peryodycznie, *dzieci dla rozrywki*...

Tu wszyscy poczęli się głośno śmiać.

— Co też pan mówisz, chciałeś zapewne powiedziéć: *Rozrywki dla dzieci*, przez Tańską.

— O to-to-to! rychtyk! zawołał pan Erazm. Albož złe były może? O! mam lokalną pamięć i znam się na tém co dobre!

Tu zażył głośno tabaki i dodał: o! tak! tak! jak Amen na niebie!

Kiedy się uspokojono, jeden z obecnych przypomniał sobie powieści tegož pana ktosia, w których, tak wszystko było zgodne z naturą, że w jednéj z nich na Zielone Świątki, w sadach ukraińskich, kwitły razem czeremchy i lipy. Nawet p. Erazm zaprotestował przeciwko temu, bo i on wiedział to dobrze, że lipy kwitną w lipcu, a czeremchy w końcu kwietnia, i to jak twierdził, jak Amen na niebie.

— Widać, dodał słusznie, że ten pan ktoś niczego się nie nauczył, ani z książki, ani z natury, bo i natura jest wielką księgą, jak to mawiał nam mądrze bardzo, w Humaniu, w szkołach, ksiądz *Wymowa*, który był bardzo rozumny, bo nawet po francuzku gadał i to tak panie, że i francuz sam podobnie mówić nie potrafi!

Widzieliśmy w magazynie pyszne, nowe wydanie Wolfa *śpiewów historycznych* Ursyna. Któryś z obecnych zapytał, czy to dzieło będzie dziś pokupne, zwłaszcza przy tak znacznéj cenie?

— Ha! rzekł księgarz, zobaczymy! Dzieło to dotąd jeszcze ma wielki urok. Ale publiczność nie jest pochopną na duży format, pąsowe okładki i złocone brzegi książki. Ot „*Sroczka*,“ naprzykład, spoczywa sobie na półkach, chociaż oddajemy już ją nie za sześć, jak to objawiališmy w prospekcie, ale za trzy ruble tylko. Pierwsza edycya sprzedawana za dwa złote daleko lepiéj się rozchodziła. Kupujący mówią nam, że lepiejby było gdyby ten papier piękny, illustracye i oprawę złoconą wreszcie użyto na wydanie *Pana Tadeusza*.

Następnie księgarz zachęcał nas do nabycia nowych dzieł historycznych. Jeden z obecnych powiedział mu na to.

— Literatura nasza, w rzeczy historyi, powinnaby się zdobyć nareszcie na takie dzieła, których nam oddawna brakuje np. na *Historyą cywilizacyi w Polsce*, albo na *Dzieje oświaty i nauk* w kraju naszym. Do dziś dnia nawet nie mamy jeszcze historycznego dzieła o przyczynach upadku kraju. Nikt też nam nie wyjaśnił tego dotąd, dla czego nie mieliśmy naprzykład średniéj klasy, dla czego brakło nam aż do ostatnich czasów przemysłu, handlu, szkół specyalnych, dla czego w kraju naszym nie zakwitły sztuki piękne, chociaż krakowianin budował katedrę Św. Szczepana w Wiedniu, a Wit Stwosz dziełami swojego geniuszu zdobił oprócz ma-

ryackiego w Krakowie obce jeszcze kościoły. Czyż nie pora byłoby pomyśleć już nad tém?

— Dalipan pora—i to jak Amen na niebie, rzekł na to ziewając pan Erazm, ciągnąc nas do bufeciku, zapewniając, że znał, nieopodal, wcale niezły zaopatrzony we wszelkie spirytualia.

No! ale miałem wam pisać o kontraktach, o jarmarku kijowskim. Cóż to pisać? Zjazd niewielki, jarmark coraz gorszy z roku na rok. Obecnie, bezdróż, z powodu odelgi, trzyma każdego w domu, a kupcy w budach i kontraktowéj sali, napróżno wyglądają gości. Mamy już oddawna dwa teatra: *operę* i *teatr dramatyczny*, w języku rossyjskim. W czasie jarmarku mamy oprócz tego panoramę, figury woskowe, menażeryą i *dziesięcioletnie dziecię* (dziewczynkę z Rosyi, *ważącą tylko* 9 czy 10 pudów i 30 funtów! Będzie to cudo, które zaćmi ową *piekną szwajcarkę*, z dwoma tłomokami, którą kilka lat temu obwożono po Europie. Ot i wszystko.

Dodać należy, że kontrakty, które zwyczajnie trwały od 28 Stycznia do 20 Lutego, obecnie mają trwać tylko do 10 tego miesiąca, a to dla bezpieczeństwa od epidemii.

Wojciech Mościcki.

Kijow 4 lutego 1879 r.

Afganistan.

Afganistan na wschód od Persyi leżący, na przedłużeniu płaskowyżyny Iranu, stanowi przejście z Azyi zachodniej do Indyi. Od północy graniczy z Turkestanem, z Hindostanem od wschodu, a z Beludżistanem od południa. Będąc umieszczony pomiędzy Rossyjskiemi i Angielskiemi posiadłościami, zdaje się iż przeznaczeniem tego kraju jest stać się w przyszłości ogromném polem walki, o panowanie nad Azyą. Środkowe jego położenie jest łącznikiem pomiędzy światem tureckim i perskim z jednej strony, a środkową i południową Azyą z drugiéj; jest on przytem ogromną jakoby fortecą, mogącą powstrzymać *prąd*, groźnie naciskający bogate państwo Indyjskie.

Powierzchnia Afganistanu jest znaczną, wynosi 800.000 kilometrów kwadratowych. Ludność jego rachują na 6 milionów, ale w tym względzie wiadomości są bardzo niepewne. Kilku podróżników angielskich podają ją na 7 milionów, inni znowu twierdzą iż zaledwo 2 miliony wynosi.

Kraj ten przerzynają liczne łańcuchy gór wielkich, większa ich część ciągnie się z zachodu ku wschodowi, wznosząc się coraz bardziéj. Łańcuch zwany Kaukazem Indyjskim albo Hindu-Kusz, którego najwyższe szczyty wiecznemi śniegami okryte, do 24,000 stóp wysokości sięgają, zajmuje stronę północną, łącząc się z pasmem gór Kurukurumu. Pomiędzy łańcuchami wyniosłości, które od północy ku południowi się ciągną i rozgałęziają w stronę Beludżistanu, główny zwie się górami Solimana.

Rzadko napotykane i wązkie wąwozy i przesmyki przecinają te góry i czynią bardzo trudnym przystęp do wnętrza samego państwa, a zwłaszcza do stolicy jego Kabulu. Od wschodu głównem przejściem jest wąwóz Khayber albo Khyber, wsławiony okropną klęską wojsk angielskich w 1842 roku, ale którą później zwycięzko pomszczono; dalej wąwozy Khouroum a za niem Peiwar, którémi w teraźniejszéj wojnie bez wielkich strat wdarli się Anglicy. Od północy, w pasmie Hindu-Kuszu, znajduje się przesmyk Bamian, przez który prawdopodobnie przechodził Aleksander Wielki. Jeszcze jedną z bram dających przystęp do Afganistanu, jest od południa wąwóz Bolan, na samej granicy Beludżistanu.

Pod względem hydrograficznym Afganistan przedstawia trzy wyraźne działy; płaskowyżynę Iranu; dolinę Indusu; i stok Uralo-Kaspijski, z główną doliną Amou-Daryi. Na płaskowzgórzu płynie Helmend albo Hilmend (*Etymander* u starożytnych historyków), który ginie w błotnistém jeziorze Hamoun, mającém 150 kilometrów długości, a będącém prawdopobnie *Aria Palus* starożytnych; jest to masa wód stojących i zgniłych, wyglądająca smutnie i bardzo mało ryb posiadająca. Do Indusu płynie z zachodu na wschód rzeka Kaboul. Amou-Darya, starożytnytny *Oxus*, stanowi północną granicę państwa, przyjmując zraszające je rzeki Koundouz, Dabar i wiele innych pomniejszych. Nareszcie Mourg Ob, rzeka ginąca w piaskach Kharismanu, do tegoż systemu wód należy.

Równie jak w Persyi, i tu po gruntach urodzajnych następują piaszczyste i jałowe równiny. Najrozleglejsza piaskowa pustynia zowie się Seistan, albo Chorawak, na wysokości stóp 3,000, wystawiona na duszące upały, wiatry gorące i niezdrowe. Całość jednak kraju przedstawia się jako obfita i bogata miejscowość; rośliny zbożowe, len, ryż, bawełna, trzcina cukrowa, drzewa morwowe, tytoń i marzanna głównie są uprawiane, bujnie i obficie rosną. Równie są liczne i domowe zwierzęta: wyborne konie, bardzo wysoko cenione przez kawalerzystów angielskich, osły, wielbłądy, kilka gatunków wołów, owce a zwłaszcza kozy, których sierć długa i jedwabista, stawia je na równi z kozami Tybetańskiemi. Fauna dzika przedstawia lwy, w odmianie mniejszéj niż Afrykańskie i Perskie, tygrysy, lamparty, dziki, wilki, hyeny, szakale, lisy, niedźwiedzie, małpy, etc. Afganistan jako kraj przeważnie górzysty, posiada wielką ilość cennych minerałów, z których niedbalstwo mieszkańców zbyt mało użytku ciągnąć dozwala. Znajdują w jego górach złoto, srebro, żywe srebro, miedź ołów i żelazo, antymon, węgiel kamienny, siarkę, i t. p.

Pomimo jednak bogactwa płodów swoich, Afganistan z powodu braku wielkiéj arteryi rzecznéj, skazany jest na rodzaj osamotnienia. Te rzeki spławne jakie posiada, nie łączą go wcale z krajami sąsiedniemi i dla tego, z przyczyny hydrograficzego systemu swego, przez długi czas zapewne stać będzie niżéj od otaczających go krain. Tylko linia kolei żelaznéj od Persyi do kotliny Indusu, byłaby dla niego arteryą życia, ale można być pewnym że fanatyzm i wrodzona apatya mieszkańców, długo sprzeciwiać się będą zaprowadzeniu tego środka komunikacyi. Afganie mają nienawiść do wszystkiego co przedstawia cywilizacyą, ruch i postęp zachodni; u nich nazwą dobrego muzułmanina oznaczają tego, któremu się udało przynajmniéj jednego chrześcianina skrycie zamordować.

(d. n.)

Literatura Zagraniczna.

(Dokończenie).

Trzecie ilustrowane dzieło, stawia nam przed oczy nieustraszonego podróżnika, który przyczynił się dzielnie do postępu jeograficznych nauk, przedarszy się przez Afrykę środkową, w miejscach niedostępnych dotąd dla ludzi. Mówimy tu o amerykaninie Stanleyu, i o świeżo wydaném jego dziele pod tytułem: *A travers le continnte mysterieux* „ Środkiem tajemniczego lądu.“

Imię Stanleya od lat ośmiu głośne już w świecie. Któż nie pamięta jak młody ten dziennikarz, korespondent nowojorskiego *Herolda*, na wezwanie Redakcyi, pośpieszył w tropy za Liwingstonem, o którym od dawna nic nie słyszano, jak wynalazł wielkiego podróżnika, w głębi środkowéj Afryki, zaopatrzył go we wszelkie potrzeby, pozyskał jego ufność i powierzony mu pamiętnik zawiózł rodzinie do Anglii. Pierwszą tę wyprawę opisał Stanley w trzytomowem dziele pod tytułem: *Jak odszukałem Liwingstona.*

Zachęcony zdobytym rozgłosem, niemniéj pociągnięty przykładem Angielskiego podróżnika, Stanléy po jego śmierci postanowił prowadzić daléj chlubnie zaczęte dzieło.

W r. 1874, puszcza się na wyprawę, w ciągu lat trzech nie cofa się przed żadném niebezpieczeństwem, zwycięża wszelkie trudności, odkrywa ostatnie źródło Nilu, nakreśla na mapie Afryki, bieg olbrzymiéj rzeki Congo, dotąd nie oznaczony; wreszcie przybywa tryumfalnie do Europy, przy poklasku całego naukowego świata. Opis téj ostatniéj podróży, wydany w Paryżu równocześnie z angielską publikacyą, ozdobiony liczemi drzeworytami, mamy właśnie przed sobą: powiedzmy tu o nim słów kilka.

W jesieni Stanléy, przybywa na wyspę Zanzibar, położoną u wschodnich brzegów Afryki, ztąd przedsiebierze wielką wyprawę. Puszcza się w kierunku wschodnim, zrazu wszystko idzie najpomyślniéj. Trzystu pięćdziesięciu murzynów, towarzyszy podróżnikowi; jedni niosą za nim całe paki szklanych paciorek i świecideł, za któremi przepadają dzikie ludy: inni wiozą zapasy żywności, a nawet rozebrany na części parowiec *Lady Alicya*. W lutym karawana dociera do wielkiego jeziora *Wiktorya*. Stanléy opływa do je koła swym żaglowcem, pokazuje w niezbity sposób że jezioro to zasila prąd Nilu wodami swemi; rozwiązuje odwieczną zagadkę, któréj Liwingston nie miał czasu rozstrzygnąć. Pierwszy to tryumf. Stanléj nie chciał poprzestać na nim. Na południowym brzegu innego jeziora Taganika, widzi ogromną rzekę zwracającą koryto swoje ku północy. Rzeka ta nieoznaczona dotąd na mapie Afrykańskiego kontynentu; odkrycie jéj stanowić będzie epokę w dziejach téj części świata. Zuchwały Amerykanin zamierza puścić się bądź co bądź z jéj biegiem. Na wybrzeżu spostrzega arabskie szałasy. To handlarze z Zanzibaru, frymarczący kością słoniową, i krwią nieszczęśliwych murzynów. Stanléy wchodzi z nimi w układy; wzywa ich na przewodników, domaga się statków do przeprawy. Próżno Arabi stawiają silny opór, daremnie prawią dziwy o kataraktach na rzece, o ludożercach rozsiadłych na wybrzeżach. Nie zraża to zagorzałego podróżnika. Siłą woli zapanował nad umysłem arabów; najmuje ich z łodziami na dni sześćdziesiąt, nie wątpi że w tym czasie dotrze do zachodnich brzegów atlantyku.

Puszczają się w drogę piechotą: rzeka najeżona skałami, żegluga po niéj niepodobna. Idą wzdłuż rzeki, niosą łodzie na barkach, docierają wreszcie w głąb lasu nietkniętego jeszcze ludzką nogą. Atmosfera ciężka, dusząca nie podobna przedrzeć się przez gęstwinę; trzeba walić drzewa toporem.

„Okropny dzień, zapisuje Stanléy... ciemno... nie widzę nawet liter! Powietrze ciężkie zapiera oddech w piersi! W pośród dwóch czarnych pasów, rzeka w milczeniu majestatycznem, toczy głębokie swoje wody. Gdzie jéj kres? niewiadomo! Muszę zbadać tę tajemnicę, muszę na mapie świata, zapełnić białą próżnię, nakreślić na niéj nowe zgłoski!“

Skały znikły, woda na rzece równa, gładka, sama zaprasza do żeglugi. Zepchnięto łodzie, ale Arabi płynąć nie chcą. Trawieni gorączką ledwie powłóczą nogi; drudzy drżą z przestrachu na myśl o ludożercach. Śmiały podróżnik nie złamie ich oporu, cała jego nadzieja w garstce murzynów Zanzibarskich, lecz ci wydzierają się gwałtem; w koło słychać jęk i szlochanie!

„Dzieci Zanzibaru, woła Stanley, arabi patrzą na was! podziwiają odwagę waszą! W górę czoło, pokażcie się ludźmi! Czego się trwożyć? Przyroda taka piękna! połączeni sercem, tworzym jedną rodzinę wszyscy tęsknicie zarówno do ognisk naszych. Ta rzeka powiedzie was do domu! Dalejże... wiosła w rękę! zawołajcie *Bismillah*! naprzód!“

I Stanléy przysięga Murzynom że gdziekolwiek zapłyną, nie porzuci ich w drodze, lecz odstawi do Zanzibaru. Prawda odbija w jego słowach. Czarni uwierzyli mu, zowią go ojcem swoim. Z razu żegluga pomyślna, w krótce jednak, w miarę jak się przerzedza las dziewiczy tubylcy, gromadzą się na brzegach. Grzmią bębny, trąby dzwonią pobudkę, żelazne dzidy połyskują na słońcu; strzały swiszczą w powietrzu, sypią się jak grad na podróżnych. Niekiedy okrzyk *Niama*! (mięso), wybieży złowrogie z ust ludożercom. Gdy łodzie staną chwilę u brzegu, dla opatrzenia się w nową żywność, następuje zacięta bójka. Nie postawić stopy na lądzie, mimo głodu, potrzeba płynąć naprzód!

Ledwie że skończono krwawe zapasy z ludożercami, następuje niemniéj straszna walka z przyrodą.

Rzeka spokojna dotąd, jeży się znów szańcem olbrzymich epok. Wśród szumu katarakt koryto zwraca się nagle z północy do zachodu. Osady inaczéj wyglądają, tubalcy ogładniejszą mają postać. U kilku z nich Stanléj spostrzegł starą broń portugalską.

— Jak się zowie ta rzeka zapytał? ich ciekawie.

— Congo! odpowiadają zagadnieni.

Congo! a zatem niedaleki Atlantyk! Dzielny podróżnik przedarł się zatem przez całą szerokość afrykańskiego lądu. Odkrył początek olbrzymiéj rzeki, niedostrzeżony dotąd europejskiem okiem, nieoznaczony jeszcze na kuli ziemskiéj.

Żegluga daléj stała się niepodobną w śród skał i huczących wodospadów; trzeba znów przedzierać się lądem. Murzyni wyczerpani z sił, głodem i trudami, zaledwie że iść mogą. Wielu z nich padło w drodze. Zmarli téż dwaj anglicy, przyjaciele Stanleya, on pozostał sam z garstką czarnych, chory złamany wysiłkiem. Cera jego z białéj stała się miedzianą, czarny włos zupełnie pobielał mimo młodego wieku; skończył zaledwie lat trzydzieści!

Po chwilowym spoczynku, podróżni puszczają się znów rzeką. Wkrótce dopłynęli do Saint Paul, portugalskiéj osady nad Atlantykiem. Uniesiony radością obsypany oklaskami Stanléj; nie przepomniał jednak obietnicy danéj wiernym Murzynom. Wsiadł z nimi na statek parowy opłynął w koło całą Afrykę południową i dostawił ich do Zanzibaru. Miasto wyległo na spotkanie, powitało podróżnych okrzykiem nie wymownéj radości.

Wyprawa Stanleya trwała 999 dni, przebył 11,517 kilometrów. Dziś imię jego błyszczy wśród podróżników najsłynniejszych w świecie!

Piękne drzeworyty w liczbie 150, dopełniają ozdoby tego pomnikowego dzieła, objętego w dwóch wielkich tomach.

SZARADA

ułożona

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

—Żyjcie w zgodzie moje panny,
I niech każda z was pamięta,
Że to obyczaj naganny,
Kiedy się swarzą dziewczęta.
Bo gdzie sojusz w poniewierce,
Tam cześć rodu dyabła warta,
Od tego mosanie serce,
Od tego *trzecia* i *czwarta*!...
Tym kształtem pan Grzegorz Płoniec,
Posesyonat z Sędziejowic,
Swar zakończył—a pod koniec
Dykcyi; tak rzeknie do dziewic:
—Mater Dei dolorosa!
Od godziny z onéj roli
Nie schodzimy—a toż zgroza!
Aż mnie *trzecia czwarta* boli.
Pchnięte jakąś żądzą marną,
Spieracie się wciąż niepięknie,
Bo gdy jedna powie: „czarno!“
Druga, *pierwsze drugie* rzeknie.
Wprawdzie do drżącego listka,
Co się z lada wiatrem chwieje,
Podobną jest zwykle *wszystka*,
Lecz to niewiast są koleje,
Zmódz nie zdołam, milczę przeto.
Na rodzinne jednak kłótnie,
Kładę zawżdy moje *veto*,
I zżymam się wciąż okrutnie,
Wszystka idąc wszech cnót torem,
Z uprzejmością miłą, lubą,
Winna być sojuszu wzorem;
Taka *wszystka* kraju chlubą.

OPIS RYCINY KOLOROWÉJ.

Ubranie dla małéj dziewczynki. Sukieneczka princesse z granatowego aksamitu oszyta u dołu szerokim białym haftem zakończonym u góry w zęby. Kołnierzyk marynarski i mankiety założone na wierzch są haftowane odpowiednio do szlaku. Przód sukni zapięty na okrągłe srebrne guziczki, szarfa z podwójnie wziętéj materyi faille, oszyta szeroką frendzlą.

Ubranie na koncert lub do teatru. Spódnica z pekinu w paski morowe przecinana jest w równych odstępach wzdłuż u dołu i przybrana wachlarzowo układanemi fałdami z atłasu wszywanemi w przecięciach. Stanik i tunika nowego rodzaju, krótka z przodu, a z tyłu sięgająca do dołu sukni jest z indyjskiego kaszmiru; wązki plastron morowy ozdobiony puklami atłasowemi. Na szyi korale różowe. Burnus z czarnego jedwabnego repsu, podszyty lisami; na głowie zarzutka biała włóczkowa.

Ubranie strojne wizytowe. Uszyte z kaszmiru i aksamitu wiśniowego koloru; pukle dane wzdłuż z boków przedniego bryta i pukle zakończające baskinę są podszyte materyą faille. Przód sukni zakończony szeroką plisą aksamitną, naszyty jest kosztowną frendzlą jedwabną. Dół sukni zakończa falbana ułożona w kontrafałdy i plisowanie.

ZAWIADOMIENIE

od Przełożonéj szkoły rzemieślniczéj dla kobiet

WE WŁOCŁAWKU.

Ponieważ częste odbieram listy z rozmaitych stron mianowicie z Litwy i Cesarstwa z zapytaniem o warunkach dla miejscowych uczenic, czuję się w obowiązku podać do wiadomości: że za życie, mieszkanie i naukę jakiego rzemiosła, płaci się miesięcznie rs. dwadzieścia, tytułem zaś wpisowego jednorazowo rs. dwadzieścia pięć. Ponieważ do fachowego uzdolnienia znajomość języków jest koniecznie potrzebna, uczenice przeto mają ciągłą kowersacyą mianowicie w języku francuzkim. Wykład buchalteryi i rysunków wchodzi także w zakres planu. Ukończenie kursów jako też otrzymanie patentu zależne są od zdolności i pracy uczenic. Można przy staraniu w przeciągu czterech miesięcy uzdolnić się fachowo, i chlubne otrzymać świadectwo. W każdym czasie przybyć do zakładu można, z dniem zaś przybycia liczy się miesiąc.

Przełożona szkoły rzemieślniczéj,

Agnieszka Bufle.

Ogłoszenia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 14 Февраля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

Wilfrid jakby przykuty do miejsca, stał ponury i niespokojny. Zkąd tu wziąść innego pożywienia dla Edyty?... nikt już nie chce mu kredytować, a rzeźnik nie dałby ani funta mięsa bez natychmiastowéj zapłaty.

„Możebyś mogła zrobić pani co z jaj?

— Czemużby nie, gdybym miała jaja... ale tak jaj jak i cokolwiek innego nie chcą mi dać bez pieniędzy... ale to nie dość... muszę jeszcze powiedzieć panu, że węgla już prawie nie ma.

Wilfrid, nic nie odpowiedziawszy, poszedł do pokoju po przyrządy do łowienia ryb. Edyta miała oczy zamknięte—zdawało się że śpi. Wtém nagle rozległ się hałas w kuchni, od któréj Wilfrid drzwi zostawił otwarte. Sally podnosiła głos jakby sprzeczając się; Wilfrid odwrócił głowę; Edyta otworzyła oczy i zaczęła słuchać.

— Mówię że pana nie ma w domu, wołała Sally, i nawet dziś wcale nie wróci, więc proszę sobie iść i nie czekać daremnie.

— A ja powiadam że jest, odrzekł szorstko głos męzki, przed chwilą widziałem go na własne oczy, w tém o to oknie, i nie ruszę się póki się z nim nie zobaczę. Mam powiedzić mu coś *bardzo ważnego* i to koniecznie *jemu samemu*, czy słyszysz.

Wilfrid Lester nie poznał głosu mówiącego, ale uderzyły go te słowa: „mam powiedzieć mu coś bardzo ważnego.“ Nie raz odbierał zwierzenia tego rodzaju, iż nie chciałby aby ktokolwiek, a szczególniéj Sally miała je usłyszéć. Rzucił sztuczne wędki i pobiegł do kuchni. Edyta stała przed nieznajomym i pogrzebaczem zagradzała mu drogę. Zobaczywszy pana Lester, przybyły najspokojniéj włożył mu papier w rękę, i wyszedł śmiejąc się; Sally rzuciła pogrzebacz, i odwracając się do pana, rzekła:

— Potrzebnieś pan tu przyszedł? Na cóż się zdało że dla ocalenia pana popełniam, Boże odpuść, po sto kłamstw na dzień—kiedy pan udaremniasz wszystko swoją nierozwagą... Wiedziałam dobrze o co mu chodzi; dopokąd nie zdołałby wręczyć panu nakazu, nie potrzebowałeś się niczego obawiać.

— I cóż ztąd, odrzekł Wilfrid rozkładając nakaz, jeźli nie dziś doręczyłby mi go jutro!

— Nie, mógłbyś go pan unikać... O nieba! pani!.. cóż się to stało?

Edyta weszła do kuchni drżąca jak listek; twarz jéj śmiertelna pokrywała bladość. Gorączkowym ruchem pochwyciła papier z rąk męża.

— Co się stało?... Co to za papier?... Och! po każ mi go, Wilfridzie!...

— Nie masz się czego niepokoić, ukochana moja, rzekł usiłując ją zwieść, i mnąc papier w ręku, to tylko rachunek.

Sally usiłowała pochwycić nakaz, Wilfrid nie chciał go puścić z ręki, i tym sposobem papier rozdarł się na dwoje, i jedna połowa została się przy Sally.

— Oto jest! rzekła, rozpościerając przed Edytą swoją zdobycz, niechno się pani przekona że tu idzie tylko o pieniądze... Więc pan nie domyślił się tego, dodała ciszéj i z wymówką zwracając się do Wilfrida, że ona obawiała się czegoś gorszego.

Poczciwa Sally nie omyliła się; Edyta sądziła rzeczywiście iż tu szło o nieprawne polowanie i walkę stoczoną ze strażnikami, i straszne widmo kajdan, procesu kryminalnego, może nawet śmierci, stanęło natychmiast przed jéj oczyma.

Obawy Sally wzrastały także z dniem każdym; nie tylko że o jéj panu krążyły co raz bardziéj niepokojące wieści, ale że nędza w kotażu wzmagała się ciągle. Wilfrid pełen współczucia dla swéj biednéj żony, i niechęci do całego społeczeństwa, stawał się codzień posępniejszym i drażliwszym, i Sally była najsilniéj przekonana, że jeżeli będzie musiał dłużéj patrzéć na cierpienia Edyty, gotów dopuścić się jakiegoś rozpaczliwego kroku. Postanowiła więc tegoż samego dnia jeszcze udać się do miss Bordillion, i powierzyć jéj swoje obawy.

„Ściągnęłabym na siebie wielką odpowiedzialność, ukrywając przed panią dłużéj jak u nas rzeczy stoją, rzekła wchodząc, postąpiłabym sobie bardzo naganie.

Po tym wstępie opisała jéj dokładnie całe położenie.

„Cóż my na to możemy poradzić, moja poczciwa Sally? rzekła ze smutkiem miss Bordillion.

— Myślę że jeżeli pan Lester nie zechce im dopomódz dobrowolnie to możnaby go przymusić do tego.

— Możnaby go zmusić, powtarzała w myśli miss Bordillion po odejściu Sally...

Rozmyślała długo nad tém co mogła i co powinna w tym razie uczynić. Znanym jéj był pewien fakt, który, gdyby doszedł do wiadomości Wilfrida, mógł bardzo wpłynąć na polepszenie losu jego. Ale wyjawiając go będzie działać wbrew interesom pana Lester i zasłuży na zarzut że podbudza syna przeciwko ojcu. A jednak czy sumienie dozwalało jéj zezwolić na to aby te nieszczęśliwe dzieci umarły z głodu? Po godzinie ciężkiego niepokoju i niepewności, napisała do Wilfrida bilecik, prosząc aby przyszedł do niéj.

„Zadziwiło cię to zapewne, Wilfridzie, że cię wezwałam do siebie, (od dnia swego ślubu pierwszy raz wszedł do niéj), ale zadziwienie twoje powiększy się jeszcze skoro się dowiesz po co cię przywołałam. Wiesz jaki mam szacunek dla pana Lester, i jak dalece unikałam każdego słowa któreby stanowiło naganę jego postępowania lub też postępowania lady Adelajdy.

— Zaklinam cię, Małgorzato, nie wspominaj o lady Adelajdzie, bo może nie byłbym w stanie zapanować nad sobą, przerwał Wilfrid. Niechaj przeklętym będzie ten dzień, w którym na moje i Maryi nieszczęście. ojciec nasz zaślubił tę nędznicę!

Małgorzata pomyślała że może ktoś więcéj jeszcze miałby powód ten dzień przeklinać, i dopiero po chwili milczenia odezwała się znowu.

— Czy ci powiedziano o tém kiedy że pani Hasketh zapisała ci pewną sumę, wypłacalną po twojém dojściu do pełnoletności?

— Nie, nie przypominam sobie.

— Nie idzie tu o jakąś małą sumkę, wymienioną także w jéj testamencie, a którą pan Lester miał ci wypłacić skoro to uzna za właściwe, ale o sumę wynoszącą osiemset funtów. Pani Hasketh, była jak wiesz twoją matką chrzestną, i w sam dzień chrztu przyniosła akt darowizny, na osiemset funtów, który położyła na kolanach twéj matki. W kilka dni, po tém te pieniądze przeszły już w ręce pana Lester, i muszą być dotąd u niego. Akt zastrzegał wyraźnie że ta suma ma ci być wyliczona bez wszelkich potrąceń i ograniczeń, jak tylko dojdziesz do pełnoletności, do tego czasu matka twoja miała pobierać od niéj procent na koszta twego wychowania.

Piękne błękitne oczy Wilfrida zajaśniały blaskiem jakiego dawno już w nich nie widziano.

„Gdzie jest ten akt?... gdzie są pieniądze?... co się z niemi stało? zapytał silnie wzruszony.

— Akt darowizny znajduje się w rękach pana Lester. Mówiłam z nim o tych pieniądzach, kiedy dowiedziałam się że oboje z Edytą w tak przykrém zostajecie położeniu, oznajmił mi wtenczas że cała ta suma została ci wypłaconą rocznemi ratami jako dochód na twoje utrzymanie, że nie będąc w możności dostarczania ci pieniędzy ze swoich własnych dochodów, wypłaciłci częściowo twoją sumę. Mnie się zdaje że pan Lester nie miał prawa tak postąpić, że po twéj pełnoletności powinien był wypłacić ci całą należność. Jeżeli tak jest w istocie, nie odebrałeś jeszcze przekazanéj ci sumy, i masz prawo upomnieć się aby ci bezzwłocznie została wypłaconą.

— A! nie godzi się tak postępować! zawołał Wilfrid wstając.

— Słuchaj Wilfridzie, być może iż pan Lester, jak to sam utrzymuje, nie przestąpił warunków zapisu wypłacając ci częściowo. Jestem także pewna że obecnie nie byłby w możności uiszczenia razem całéj sumy, byłoby dla niego równém niepodobieństwem jak dla mnie wystarać się ośmiuset funtów. Radzę ci więc abyś się udał do niego w usposobieniu jak można najwięcéj pojednawczém; i zapytał się co chce lub może dla ciebie uczynić. Gdyby ci dał sto lub dwieście funtów a conto, i to już znaczyłoby bardzo wiele.

Sto lub dwieście funtów! To istna kopalnia złota dla człowieka zostającego w nędzy.

Uniesiony radością Wilfrid chciał biedz do ojca nie tracąc ani jednéj chwili, ale Małgorzata przytrzymała go za rękę, zmusiła aby usiadł przy niéj, i zatrzymała dopóki nie ułożyli wspólnie planu dalszego postępowania. Zaklinała go nadewszystko aby się nie sprzeczał z ojcem, i przekładała że powinien być spokojnym i umiarkowanym, skoro ma słuszność za sobą.

Wilfrid udał się po południu do Danesheld-Hall, i wprowadzono go do gabinetu ojca. Prosił go grzecznie, z uszanowaniem, o kwandrans rozmowy, i z wielkiem jego zadziwieniem pan Lester zgodził się na to bez żadnéj trudności.

Wilfrid usiadł, i przystępując natychmiast do celu przedstawił spokojnie cel swoich odwiedzin,

nie wymieniając wszakże jakim sposobem dowiedział się o fakcie nieznanym mu aż do téj chwili.

Squir Lester wysłuchał go bez zmarszczenia brwi. Jeżeli to co słyszał zadziwiło go nie dał tego poznać po sobie, słuchał syna obojętnie, nie przerywając mu nawet skinieniem ręki, a skoro ten skończył! odpowiedział tylko że te pieniądze zostały mu już wypłacone.

..Zdaje mi się że mylisz się, mój ojcze, odpowiedział Wilfrid, ta suma powinna mi była być wypłaconą z zachowaniem przepisów wymaganych prawem, a wiesz dobrze że nic podobnego nie miało miejsca. Nie powiedziałeś mi nawet nigdy ojcze że złożono w twe ręce taką sumę dla mnie.

— Teraz zaś miss Bordillion uwiadomiła cię o tém, jak widzę. Odemnie tę tylko możesz odebrać odpowiedź, że pieniądze te zostały ci wypłacone ratami, na twoje utrzymanie.

— Ale nie należało się oddawać mi ich w ten sposób. Według tego co mi powiedziano, warunki darowizny były wyraźnie objawione.

— Mylisz się, Wilfridzie.

— Czy akt darowizny jest u ciebie, ojcze.

— Tak, jest tam schowany, rzekł pan Lester, wskazując małą skrzyneczkę stojącą w kącie.

— Chciałbym go przeczytać.

— Po co? Co ci z tego przyjdzie? Zdaje mi się że możesz poprzestać na tém co ci mówię. Kiedy już wypłaciłem ci całą sumę ratami, zbudziła się w moim umyśle wątpliwość, czy miałem prawo uiścić się w ten sposób z długu, i dla tego zasięgnąłem rady prawnika...

— I cóż? zawołał z żywością Wiifrid, bo pan Lester zatrzymał się nagle.

— Powiedział mi że akt nie był napisany dość jasno, i z tego powodu tak sposób w jaki go zrozumiałem, jak nie dość wierne zastosowanie się do wskazanych w nim warunków wypłaty, były całkiem usprawiedliwione.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Proszę cię ojcze, pokaż mi ten akt.

— Nie pokażę ci go. W jakim celu chcesz go przeczytać?

— Pragnę przekonać się dowodnie że nie mam prawa upominać się o nic zgoła.

— Słowo moje powinno ci wystarczyć. Powiedziałem prawdę.

Stanowczy i ostry ton ojca, przekonał Wilfrida że napróżno nalegałby dłużéj. Nigdy za zezwoleniem pana Lester me przeczyta aktu darowizny.

— Ojcze, rzekł usiłując zachować spokojność, nie przyszedłem tu w celu przyczynienia ci kłopotów, nie przyszło mi nawet na myśl aby żądać od ciebie wypłacenia natychmiast całéj sumy. Gdybyś był łaskaw dać mi paręset funtów, poprzestałbym tymczasowo na tém.

Pan Lester odpowiedział mu głośnym śmiechem.

Wilfrid drżący ze wzruszenia, usiłował rozczulić ojca, opisał mu swoją nędzę, mówił o swéj nieszczęśliwéj żonie, pozbawionéj nietylko wszelkich wygód, ale najniezbędniejszych potrzeb życia, pokazał nakaz wręczony mu rano, i prosił o te dwieście funtów już nie jako o rzecz należną mu, ale jako o łaskę.

— Nie mogłeś się spodziewać nic innego. Sam tego chciałeś. Cóż innego mogłeś obiecywać sobie zawierając podobny związek?

— Więc to za moje ożenienie chcesz mnie ukarać ojcze?... Pozwól mi w takim razie powiedzieć że posłużyło ono jedynie za pozór, i że w głębi serca nie bierzesz mi go za złe, zawołał śmiało Wilfrid. Tak, ojcze, jestem najsilniéj przekonanym, że znajdując się na mojém miejscu postąpiłbyś tak samo; że gdyby nie wpływ lady Adelajdy, która starała się nas poróżnić i była zawsze moją zaciętą nieprzyjaciółką, byłbyś pochwalił moje postępowanie, zamiast wyrzucać mi je jakby jakąś najcięższą zbrodnię.

— Dosyć tego! Ani słowa więcéj! zawołał pan Lester.

Wilfrid wstał; usta mu drżały, a w twarzy ojca utkwił błagalne spojrzenie.

— Dopomóż mi choć trochę, mój ojcze! Daj mi choć te nędzne dwadzieścia funtów w braku których zostanę wtrąconym do więzienia za długi, błagam cię o to w imię Edyty!

Zdawało się Wilfridowi że dostrzegł jakiś odcień litości i współczucia na twarzy pana Lester, czyżby nakoniec zechciał ulitować się nad losem syna i przyjść mu w pomoc?... Może... Ale drzwi się otworzyły i ukazała się lady Adelajda, imponująca i dumna. Odsunęła pogardliwym ruchem fałdy swéj sukni, przechodząc koło Wilfrida, i stanąwszy przed mężem, odezwała się patrząc mu w oczy.

„Powiedziano mi że syn twój znajduje się tutaj, ale nie chciałam temu wierzyć. Jak mogłeś dozwolić mu wejść do twego domu, panie Lester? Jakie wyobrażenie powezmą moje dzieci o obowiązkach względem rodziców, jeżeli zechcesz usprawiedliwiać w ten sposób bunt twego syna przeciwko twéj władzy?

— Wszedł tu bez mego pozwolenia, lady Adelajdo, i pożegnałem go już nawet. Na cóż tu czekasz jeszcze? Wychodź! dodał zimno, wskazując drzwi Wilfridowi, a jednocześnie drugą ręką przysunął fotel lady Adelajdzie.

Wilfrid schował nakaz do kieszeni i wybiegł z klątwą na ustach. Pobiegł do Małgorzaty aby jéj zdać sprawę ze swéj bytności u ojca. Wbiegł do kotażu miotany szalonym gniewem, a z ust jego potoczyły się gwałtowne oskarżenia przeciwko ojcu i lady Adelajdzie. Lydney i Marya znajdowali się u miss Bordillion, ale Wilfrid nie zważał na to.

„Małgorzato, chce mnie wyzuć z moich pieniędzy; to haniebne! Nie chciał mi pokazać tego aktu pomimo że go miał tuż pod ręką! Powiedziałem mu że żona moja umiera z głodu, że dopuszczę się rozpaczliwego kroku... A! to człowiek bez czucia, bez serca!... Patrz, pokazałem mu to nawet, dodał rzucając na stół nakaz, prosiłem go jak żebrak aby mi dał choć dziesięć funtów i uchronił tym sposobem od więzienia... nie dał się ubłagać!

— Co ci się stało, Wilfridzie? zawołała przerażona Marya, co to za papier?

— Słuchaj, Małgorzato, mówił daléj Wilfrid, chowając papier do kieszeni, zdaje mi się że może dałby się wzruszyć, że może byłby mi dopomógł, gdyby lady Adelajda wchodząc nagle nie przeszkodziła temu... A! jeżeli jest jaka sprawiedliwość!...— Co robisz Maryo? Czemu mnie ciągniesz tak za rękę.

— Doprawdy, Wilfridzie, jeżeli się nie uspokoisz, to nie tylko Maryę ale i mnie przestraszysz.

— Sądzę że mogą się znęcać nademną bezkarnie, mówił daléj Wilfrid, któremu gniew nie dozwalał słyszeć co do niego mówiono, ale przysięgam że ten akt dostanie się do rąk moich, choćbym miał przemocą w nocy dostać się do domu. Pieniądze do mnie należą... Nie pozwolę się okraść!

— Tego już nadto Wilfridzie, nie mogę pozwolić abyś mówił mnie coś podobnego, rzekła miss Bordillion.

— Wybornie! Wszyscy jak widzę zmówiliście się na mnie. Pozostaje mi tylko z dyabłem zawrzéć przymierze! Niechże skutki tego spadną na was.

Uchwycił czapkę i wybiegł jak szalony, miss Bordillion pośpieszyła za nim na drogę bez szala i kapelusza.

Pan Lydney wiedział teraz wszystko. Marya przestraszona, zmieszana, starała się przemówić kilka słów przepraszając go, że on, obcy; nie należący do rodziny, był świadkiem takiéj sceny.

— Obcy! zawołał Lydney. A! miss Lester, sądziłem że nie uważasz mnie już za obcego.

— Masz pan słuszność, uważamy pana za dobrego znajomego; a jednak kiedy pomyślę że znamy się tak krótko, dziwi mnie to że jesteśmy tak z sobą jakby nas dawna łączyła przyjaźń... Ale może nie powinnabym tego mówić?

Uśmiechnął się, a ten uśmiech wywołał rumieniec na lica Maryi.

— Pragnę być dla pani przyjacielem, prawdziwym przyjacielem, jak równie i twego brata miss Lester, rzekł głosem zniżonym i z głębokiém wzruszeniem Czy pozwalasz mi pani mówić z sobą otwarcie o tym przedmiocie.

Przyjacielem! O tego właśnie potrzebowało jéj serce, bo czuła że rozpacz zaczyna ją ogarniać ile razy pomyśli o swéj, a nadewszystko o Wilfrida przyszłości. Zwróciłasna Lydney'a pełne smutku i wdzięczności spojrzenie, które stało za odpowiedź.

— Czego się pani obawia?

— Obawiam się... A! nie umiem nawet powiedzieć czego się obawiam, odpowiedziała.

— Obawia się pani aby Wllfrid, przyciśniony nędzą i niesprawiedliwością ludzką, nie posunął się do jakiegoś czynu niewłaściwego dla syna i spadkobiercy pana Lester.

Syna i spadkobiercy! W innych ustach zakrawałoby to na ironię. Oczy Maryi napełniły się łzami.

— Zaufaj mi pani, rzekł pochylając się ku niéj i ujmując jéj ręce, uczynię dla brata pani wszystko co tylko człowiek uczynić może. On wybawił mnie od śmierci, ja wybawię go z niedoli.

— Ja tak kocham tego biednego Wilfrida! rzekła jakby dla usprawienia łez swoich. Jest tylko o cztery lata starszy odemnie, i od śmierci naszéj matki, a zwłaszcza odkąd ojciec nasz stał się prawie obcym dla nas w skutek swego powtórnego ożenienia, jedyną dla nas pociechę stanowiło nam wzajemne nasze przywiązanie.

— Zaufaj mi pani, miss Lester.

Trzymał ciągle obie ręce Maryi, zarumienionéj, zmieszanéj. Głos jéj drżał silnie gdy odezwała się znowu:

— Jest tak żywy, gwałtowny!... Wszak go pan widział przed chwilą... Sądzi że wszyscy są niesprawiedliwi dla niego... a prócz tego tak się niepokoi o swą biedną żonę. O! panie Lydney, gdyby pan mógł go ratować, nie wiem jak zdołałabym podziękować... Nie potrafiłabym nigdy dostatecznie wywdzięczyć się panu.

Odpowiedział jéj tylko uśmiechem, ale w głębokiém jego spojrzeniu wyczytała co mówiło jego serce, i zadrżała pod wpływem jakiegoś nieznanego jéj dotąd uczucia.

Miss Bordillion wróciła w parę minut po tém.

Rozdział VII.

Schadzka w lesie.

Pan Lydney wyszedł od miss Bordillion z najsilniejszém postanowieniem pomówienia natychmiast z Wilfridem Lester, i w tym celu udał się prosto do jego mieszkania.

Wilfrid stał przed kotażem, wsparty o sztachety, z głową pochyloną na piersi, ponury, przygnębiony, prawie otrętwiały. Ochłonął już z gniewu, i teraz nastąpiłazwykła po gwałtownych uniesieniach reakcya. Nieszczęśliwy Wilfrid! zdawało się że nadzieja po to tylko zabłysnęła mu na chwilę, aby teraz rzeczywistość ukazała się straszniejszą jeszcze.

Lydney położył mu lekko rękę na ramieniu.

„Otrząśnij się z tego smutku, Wilfridzie, uzbrój się w mętztwo. O cóż ci tak dalece chodzi, u licha?

— O co mi idzie! wyborny jesteś! wszakże byłeś przed chwilą u miss Bordillion?

— Tak, ale nie widzę jeszcze powodu do rozpaczy.

— Cóż więc może uczynić człowiek nieposiadający jednego pensa, bez przyjaciół, pomocy, kredytu? Jestem zgubionym!... i mniéjsza o to że wszyscy wisdzieć o tém będą; nie ja ale ktoś inny wstydzić się tego powinien.

— Sam sobie musisz przypisać winę jeżeli to doszło do mojéj wiadomości. ale skoro już tak się stało nie miéj mi za złe jeżeli...

— Powiedziałem już że nie dbam że się to rozgłosi, przerwał Wilfrid niecierpliwie. Radbym otrąbić to na rogach ulic, ale co ci z tego przydzie że wrócimy znów do tego przedmiotu?

— Nie przyszłoby mi nic rzeczywiście. gdybym nie był pewnym że będę mógł wyprowadzić cię z przykrego położenia, jeżeli tylko zechcesz postępować jak człowiek rozsądny. Wilfridzie, mówił daléj poważnie i ze szczerém wzruszeniem, winien ci jestem życie. Gdyby nie odwaga i energia której dałeś dowody téj strasznéj nocy, śmierć byłaby pochwyciła mnie jak tylu mych towarzyszy. Uratowałeś mi życie narażając swoje. Jest to dług z którego nigdy wypłacić ci się nie potrafię, pozostaw mi przynajmniéj możność dowiedzenia ci mojéj wdzięczności, dozwalając mi abym postępował z tobą jak przyjaciel, jak brat.

— Narażając moje życie! odezwał się Wilfrid z gorzkim uśmiechem, o! wierzaj mi że nie jest mi ono tak drogiém, abym je chciał przedłużyć.

— W każdym razie może ono być bardzo drogiém dla twéj żony... Pozwól mi, Wilfridzie, być tém dla ciebie czém byłby twój brat, gdybyś go posiadał. Wyzuto cię niesprawiedliwie z majątku, ja mam więcéj niż potrzebuję; pozwól mi być twym bankierem.

Wilfrid Lester zarumienił się silnie. Był bardzo drażliwym pod tym względem. Nie odbierając żadnéj odpówiedzi, Lydney mówił daléj:

— Pożycz odemnie jak przyjaciel pożycza od przyjaciela, jak zapewnie nie raz dawniéj pożyczono od ciebie. Oddasz mi jak ci się lepiéj powodzić będzie.

— Jak mi się lepiéj powodzić będzie! powtórzył ironicznie Wilfrid. Mnie się nigdy nic nie powiedzie!... A! te osiemset funtów!... przysięgam że ich się nie wyrzeknę bez walki!

— Po co teraz myśléć o tém. Ileż zechcesz pożyczyć odemnie?

— Czy na seryo zadajesz mi to pytanie?

— Jakto, czy na seryo? jestże w tém coś tak nadzwyczajnego, abyś mógł powątpiewaćlub wahać się?

— W takim razie jesteś zacnym człowiekiem Lydney'u, nikt jeszcze nigdy nie uczynił tyle dla mnie. Wezmę dziesięć funtów aby się uwolnić od tego przeklętego nakazu.

— Co za dzieciń以two! Dziesięć funtów! Trzeba..

— Ani pensa więcéj... Nie, nic więcéj, przerwał mu Wilfrid rumieniąc się znowu; uchroń mnie od więzienia, a podziękuję ci z głębi serca; dla siebie nic nie potrzebuję ..

— Ale ktoś inny może potrzebować, rzekł Lydney cicho, patrząc mu w oczy.

— Ani pensa więcéj, powtarzam, rzekł Wilfrid niecierpliwie. Gdyby nie szło o uniknięcie więzienia... gdybym nie był potrzebnym Edycie, nie przyjąłbym nic zgoła.

— A! Wilfridzie czemu nie chcesz postępować ze mną bez ceremonii, jak z przyjacielem?

— Uważam cię za przyjaciela, skoro i taką sumkę przyjmuję od ciebie, i dziękuję ci z całego serca, Williamie. Oddam ci jak tylko będę w możności... Co do znaczniejszéj sumy, nie, stokroć nie!

— Ta odmowa tak stanowcza zakończyła dalszą rozmowę.

Nazajutrz Wilfrid udał się do pana Apperly, adwokata.

Pan Apperly był kiedyś doradcą i pełnomocnikiem pana Lester do wszystkich interesów prawnych, ale posprzeczali się z sobą o jakiś interes, i właściciel Danesheld-Hallu powierzył swe interesa innemu adwokatowi. Pan Apperly od tego czasu czuł do niego głęboką urazę.

— Chcesz abym ci dał objaśnienia co do aktu darowizny, odezwał się odpowiadając na pytanie Wilfrida. Cóż ja ci powiem, panie Lester? Oto jak rzeczy stoją o ile mi się zdaje: Kiedy pan Lester wypłacił ci roczną pensyę na twoje utrzymanie, nie miał zamiaru czerpać jéj z twego osobistego majątku, ale w chwili gdy cała ta suma stała się wymagalną, znajdował się w takich kłopotach pieniężnych, że chwycił się pierwszego lepszegó pozoru byle uchronić się od wypłaty, i wtenczas to ułożył historyjkę o spłaceniu ci téj sumy ratami. Oto smutny ale prawdziwy stan rzeczy, nie wahałbym się powiedziéć mu to w oczy.

— Ojciec utrzymuje że oddał mi tę sumę już po mojém dojściu do pełnoletności, podczas kiedy służyłem w wojsku.

— A! tak mówi? Nie zrozumiałem cię dobrze. Zresztą wyjdzie to prawie na jedno.

— Czy prawo upoważniało go do podobnego uiszczenia się z długu?

— Aby odpowiedziéć na to musiałbym miéć w ręku akt darowizny.

— Więc nie czytałeś go pan nigdy?

— Czytałem, ale wtenczas jeszcze kiedy był sporządzonym, to jest kiedy pan byłeś niemowlęciem. Tyle już od owéj pory upłynęło czasu że szczegółowe wyrażenia wyszły mi już z pamięci; to jednak pamiętam że warunki były określone stanowczo i wyraźnie, i że pan Lester nie miał prawa odstępować od nich.

— W takim razie mógłbym go zmusić do wypłacenia mi tych ośmiuset funtów?

— Bezwątpienia, a nawet do zwrotu przypadającego od nich procentu od daty dojścia do pełnoletności. Objawiam panu jednak to zdanie tykko warunkowo, dodał pan Apperly; wszystko zależy od osnowy aktu.

— Czy podejmiesz się pan téj sprawy?

Pan Apperly zamyślił się. Nie pochwalał bynajmniéj wybryków popełnionych przez Wilfrida. Według niego zarówno ubóstwo jak i ożenienie się bez odpowiednich środków do życia niczém usprawiedliwić się nie dawało, nie wybaczał więc Wilfridowi ani jego ożenienia ani jego ubóstwa. Z drugiéj jednak strony cenił nad wszystko sprawiedliwość, a prócz tego radby był podać panu Lester gorzką do przełknięcia pigułkę.

— Potrzebuję przeczytać akt darowizny za nim udzielę panu stanowczą odpowiedź.

— Ale ojciec nie chce mi go pokazać.

— W takim razie nic dla pana uczynić nie mogę, odpowiedział adwokat.

Wilfrid obracał w ręku swój stary, zniszczony kapelusz a na twarzy jego malował się głęboki smutek. Zadawał sobie w myśli pytanie czy już cały świat sprzysiągł się na niego.

„Zrób pan tyle przynajmniéj dla mnie, panie Apperly, napisz do mego ojca prosząc aby pozwolił ci przeczytać ten akt, jako mojemu adwokatowi.

— Dobrze. Nie mam nic przeciwko temu. Jeżeli zgodzi się na to, będę mógł objawić panu moje zdanie co ci nadal czynić wypada.

Na tém stanęła umowa, i pan Apperly zaraz po oddaleniu się Wilfrida napisał list do squira Lester.

Rzeczy tak stały w istocie jak się tego domyślał adwokat. Pan Lester przyciśniony wzrastającemi ciągle kłopotami finansowemi, nie przygotował się wcale do wypłacenia synowi sumy należnéj mu po dojściu do pełnoletności. Wprawdzie Wilfrid nie wiedział wcale że istniał dla niego jakiś zapis, nie groziło więc żadne naglące niebezpieczeństwo, ale niepokoiła zawsze pana Lester myśl że musi się dowiedzieć i zażądać zwrotu należnego mu kapitału, i wtenczas to postanowił utrzymywać, wrazie gdyby go kiedyś zawezwano o spłacenie téj sumy, że wypłacił ją częściowo, jako pensyę na utrzymanie Wilfrida. Trzeba jednak przyznać że pan Lester zdecydował się na to dopiero po zasięgnięciu rady prawnika. Pewnego dnia, korzystając z obecności u siebie jednego ze swych znajomych, bardzo jeszcze młodego adwokata, przedstawił mu cały ten interes, pokazał akt, i zapytał czy sposób w jaki on go zrozumiał i wykonał nie sprzeciwia się przepisom prawa, Jakiebądź było osobiste zdanie młodego prawnika, domyślił się co pan Lester usłyszéć pragnie, albo też może sam nie rozumiał dobrze téj sprawy, odpowiedział więc że był to interes dość zawikłany, że nie mógł tak bez gruntownego zastanowienia się dać stanowczéj odpowiedzi, ale zdaje mu się że pan Lester ma prawo za sobą.

Squir Lester który tego tylko pragnął aby odebrać uspakajającą odpowiedź, poprzestał na tém, wrzucił akt do skrzyni i przestał myśléć o nim.

Noc była jasna, gwiazdy błyszczały świetnie, gdy pan Lydney śpieszył do lasu na schadzkę z Ben Beecher'em, złodziejem zwierzyny.

Wyznaczone na ten cel miejsce: mała łączka wśród lasu, ogołocona z drzew było doskonale wybrane na rozmowę tajemną, zdala od oczu i uszu ludzkich.

Jednak pan Lydney i nowy jego znajomy nie byli tam sami tylko, ktoś trzeci, czego nie domyślali się wcale, był świadkiem ich schadzki; był to lord Dane.

Bądźmy sprawiedliwi względem pana Danesheldu; nie miał zwyczaju podsłuchiwać pod drzwiami, ani też śledzić cudzych czynności, nawet i teraz, pomimo że wyjaśnienie podejrzeń ciążących na panu Lydney uważał jako spełnienie obowiązku względem społeczeństwa, przykro mu było działać tak podstępnie. Z drugiéj znów strony, złodzieje leśni przekroczyli już wszelkie możliwe granice, tolerować dłużéj ich nadużycia, byłoby naganną słabością, któréj lord Dane pomimo swéj zwykłéj łagodności i obojętności, nie mógł dawać przykładu. Gdyby tak mógł wpakować na jakie parę lat do więzienia tych wszystkich hultajów a z nimi pana Lydney, wyrządziłby wielką przysługę całéj okolicy.

„Panie, rzekł cicho Ben Beecher, przeciskając się ostrożnie pomiędzy krzakami aby wyjść na łączkę

gdzie już znajdował się pan Lydney, szkatułka nie została skradzioną.

— Czy tak? zawołał pan Lydney.

Lord Dane słuchał z najgłębszą uwagą, powstrzymując oddech aby nie stracić ani jednego słowa, ale jak na złość dwaj spiskowi zamiast zbliżyć się w tę stronę w której on się ukrywał, pozostali na przeciwnéj. Jego wielmożność ukryty w gęstwinie nie śmiał się nawet poruszyć, aby tém nie zwrócić ich uwagi. Ten Beecher miał słuch tak wyborny że dosłyszałby najlżejszy szelest. Jednak lord Dane nie tracił cierpliwości. Lydney i Beecher spacerowali niekiedy wszerz i wzdłuż po łączce, a że trawa tłumiła odgłos ich kroków, spodziewał się usłyszéć przynajmniéj jakieś urywki ich rozmowy. Rzeczywiście od czasu do czasu dochodziło do niego po kilka słów, a zresztą nie potrzebował nic szyszéć, aby być najsilniéj przekonanym że ci niegodziwcy zmawiali się aby wygubić do ostatniéj sztuki wszystką jego zwierzynę.

„Widziałem się z kim należało, i mogę pana zapewnić że nie wiedzą nic o szkatułce mówił daléj Beecher, są przekonani że trzeba jéj szukać w pałacu.

— Cóż ich naprowadza na ten wniosek?

— Doprawdy, tego sami nie umieliby powiedziéć, ale bądź co bądź takie jest ich przekonanie, a mają oni tyle sprytu, że zdaniem ich pogardzać nie można. Powiadają że gdyby szkatułka została skradzioną, to oni wiedzieliby o tém. Shad zapewnia że ją wniesiono do pałacu.

— Nie można tak bardzo polegać na zapewnienie Shada.

— Tych ludzi nie oczekiwałby z pewnością, rzekł Beecher tonem znaczącym. W każdym razie, panie jeżeliby szkatułka nie znajdowała się w pałacu, to już nie wiedzą gdzieby być mogła.

Ben Beecher mówił, jak się zdawało. z głębokiém przekonaniem, ale Lydney wiedział że tym ichmościom nie więcéj można było wierzyć jak Shadowi.

— Czy sądzisz, zapytał, że zaofiarowanie znaczniejszéj nagrody mogłoby się przyczynić do odnalezienia szkatułki?

— Nie, panie, choćby pan nawet obiecał pięćset funtów, odpowiedział Beecher, wymieniając przypadkiem sumę która miała być oznaczoną nazajutrz; czego nie mają tego oddać nie mogą. Powinienby pan szukać w pałacu, są najsilniéj przekonani że szkatułka tam się znajduje.

— Ale lord Dane powiada że jéj tam nie ma, a co więcéj i policya mówi też samo. Już tam czyniono poszukiwania.

— Czy lord Dane ma jaki interes w ukryciu téj szkatułki? zapytał nagle Ben Beecher.

Lord Dane usłyszał te zuchwałe słowa. Rozmawiający znajdowali się w téj chwili tuż obok niego.

— Dla czego pytasz mi się o to?

— Ponieważ utrzymują że w pałacu jest mnóstwo skrytek, gdzie można przechowywać różne rzeczy, a których istnienia policya nie domyśliłaby się nigdy. Mówiłem dziś rano o tym interesie z moim ojcem, i ten mi powiedział: „Jeżeli lord Dane chce ukryć tę szkatułkę tak aby nikt jéj nie mógł naleźć, przyjdzie mu to z największą łatwością.“ Trzeba panu wiedziéć że przed laty, przemytnicy—powtarzam tu krążące wieści — przechowywali towary w pałacu (był to bardzo dobry pomysł, bo któżby ich tam poszedł szukać) i że lord Dane, dziad zmarłego lorda, był z nimi w zmowie.

Jakże musiało być przyjemnie lordowi Dane słyszéć coś podobnego.

Pan Lydney zdawał się zdziwiony, ale nie przywiązywał wiele wiary do téj wiadomości.

— Czy ojciec twój wie gdzie znajdują się kryjówki?

— Nie tylko że nie ma o tém najmniejszego wyobrażenia, ale nie jest nawet pewnym czy one istnieją rzeczywiście. Jest to rodzaj legendy przywiązanéj do tego zamku. Każdy obawiałby się mówić o tém głośno, aby nie narazić się na gniew lorda Dane.

— Nie lubi aby ktoś ośmielił się mierzyć się z nim, wszak prawda?

— To już leży w naturze wszystkich Dane'ów. Nawet kapitan nie był bardzo ustępującym i pobłażliwym, chociaż była to najuczciwsza dusza z nich wszystkich, za co go też powszechnie lubiono. Biedny człowiek, zamordowano go.

— Tak, słyszałem już o tém. Właściciel hotelu w którym mieszkam, służył u niego, wszak prawda? Mówił mi że to był człowiek prędkiego charakteru, ale dobry i szlachetny.

— Podejrzenie padło na Ravensbird'a, który też został aresztowany, ale wypuszczono go prawie natychmiast. Posądzano także pewnego kramarza, ale tego nie można było znaleźć.

— Podobno posądzano także obecnego lorda Dane... pana Herberta, jak go wówczas nazywano; tak mi się przynajmniéj zdaje, powiedział obojętnie pan Lydney.

— Uchowaj Boże! zawołał Beecher, z największém zdumieniem. Zkąd też panu mogła nasunąć się myśl podobna?

— Nie zrozumiałeś mnie dobrze, mój przyjacielu; zadałem ci tylko proste pytanie i nic więcéj. Wiesz dobrze, że i gentlemani pokłócą się a nawet niekiedy pobiją z sobą tak jak i wy; otóż i kapitan Dane mógłby w ciągu walki spaść przypadkiem ze skały.

Ben Beecher wstrząsnął z powątpiewaniem głową, i lord Dane dostrzegł wyraźnie ten ruch jego.

— Nie panie, nie było na niego nawet cieniu podejrzenia. Zresztą nie było żadnego powodu mogącego je wzbudzić.... Aha! przypominam sobie teraz; w owym czasie jeden z kolegów mówił do nas że zdawało mu się iż w téj saméj porze kiedy miał miejsce ten straszny wypadek, widział pana Herberta Dane biegnącego ze skalistego wybrzeża, ale tak prędko, tak prędko, że nie mógł być pewnym czy to był on rzeczywiście. Zaleciliśmy mu aby nie odzywał się z tém wcale.

— Któż to mówił?

— Brat mój przyrodni, ale umarł już dawno, i..

Odgłos strzału przerwał mowę Beecher'owi. Przysłuchiwał się przez chwilę, potém pobiegł prędko na drugą stronę łąki, zatrzymał pod drzewami i patrzył uważnie to w tę, to w tę stronę. Lydney poszedł za nim.

Obydwaj stali teraz zbyt daleko aby lord Dane mógł dosłyszéć co mówią.

„Gdyby to było późniéj, sądziłbym że to podstęp dla omylenia czujności straży leśnéj, rzekł Beecher. Te bydlęta biegają ciągle po lesie jak zapamiętałe, od dnia powrotu lorda Dane. O! szczęśliwe to były czasy w czasie jego nieobecności! Wczoraj wieczorem byłem pewny że przyjdzie do bójki, bardzo już mało brakowało do tego.

- - Jakąż przyjemność może ci sprawiać ta ciągła walka ze społeczeństwem, to życie pełne niebezpieczeństw?

— Ha! trzeba przecie żyć.

— A więc czemu nie żyć uczciwie?

— O! bo widzi pan, jak kto już raz wmiesza się w podobne sprawy, i obierze sobie taki sposób życia, bardzo mu trudno wycofać się z tego. Ktożby nam zaufał? ktoby chciał nam dopomódz powierzając uczciwą pracę?

— Ja pierwszy. Gdybym widział że człowiek zbłąkany pragnie szczerze wrócić na drogę cnoty, dopomógłbym chętnie, nietylko moim wpływem ale i... workiem.

— A! panie, łatwo to powiedziéć... Przykro mi bardzo że nie udało się znaleźć pana szkatułki, te pięćdziesiąt funtów mogłoby zrobić wiele dobrego nie jednemu z nas.

— Nie zrażaj się niepowodzeniem, dokładaj wszelkich starań aby ją wynaleźć, a może w końcu trafisz na ślad. Tymczasem weź to jako wynagrodzenie za podjęte już trudy.

Zdawało się Beecher'owi że tylko marzy, kiedy ujrzał w swéj ręce sztukę złota. Ah! panie, zawołał z uniesieniem wdzięczności, gdyby w tym nieszczęsnym Danesheldzie było więcéj ludzi podobnych do pana, łatwoby nam było wrócić na dobrą drogę. Dziękuję panu, i życzę z całego serca dobréj nocy.

Kiedy już odeszli, lord Dane wysunął się z ukrycia, ocierając czoło z potu, jak człowiek zostający pod wpływem przerażenia.

„Co za jakiś szatański spisek knują ci hultaje! pomyślał. Skrytki w pałacu!... tak to moi panowie!... Nikt tak sprawiedliwie nie zasługuje na stryczek jak ten nędznik Lydney. Wszyscy ci złodzieje i przemytnicy są w porównaniu z nim gentlemanami.

Lord Dane słyszał tylko urywki rozmowy, ale z tych słów które pochwytał musiał nabrać przekonania że ciągle mówiono tylko o nim, Nie brakło mu też powodów do utworzenia sobie jak najgorszéj opinii o panu Lydney. Już to samo pytanie: Czy nie posądzano że pan Herbert był przeciwnikiem kapitana Dane? oburzyło lorda do najwyższego stopnia, i myślał już tylko jakby uwolnić okolicę od tak niebezpiecznego gościa.

Nazajutrz rano ukazało się na gmachu policyi ogłoszenie, zawierające opis zagubionéj szkatułki, i obiecujące pięćset funtów nagrody temu ktoby ją odniósł nienaruszoną.

To ogłoszenie wywołało w Danesheldzie niezwykły zamęt. Przed biórem policyi wzrastała z każdą minutą liczba przechodniów, otwierających szeroko oczy, i wydających głośne okrzyki podziwienia. Wkrótce przejście zostało całkiem zatamowane.

Lord Dane, tego dnia, udał się rano do miasta; spostrzegłszy zdaleka tłum stojący przed biórem policyi, zbliżył się tam dla zapytania o przyczynę zbiegowiska. Po przeczytaniu ogłoszenia oniemiał z zadziwienia, nie chciał wierzyć własnym oczom; po chwili dopiero przebił się przez tłum i wszedł do bióra policyi.

— Co znaczy to ogłoszenie, panie Bent? zapytał inspektora piszącego przy biórku.

— Naspr̨owadzało nam tu sporo gawiedzi, wszak prawda, milordzie? rzekł inspektor wychodząc z uszanowaniem na przyjęcie tak znakomitego gościa; co za bezrozumna gawiedź! Możnaby sądzić że nie mają nic lepszego do roboty.

(d. c. n.)



Pl. 385.

TYGODNIK MÓD.

W WARSZAWIE.